

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2021/3

magazynhisteria.pl



CIAŁO OBCE  
DOM PRZY LIPOWEJ 17  
DWA MIEJSCA  
MANBURGER  
MOJA JULIA

# SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
CIAŁO OBCE	Marek Kwietniewski	5
DOM PRZY LIPOWEJ 17	Rafał Borkowski	15
DWA MIEJSCA	Justyna Czapiga	24
MANBURGER	Kornel Mikołajczyk	41
MOJA JULIA	Dariusz Sprenglewski	47

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka:** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Małgorzata Siłkowska, Zvyrke

**Korekta:** Joanna Korytko

**email:** [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami majowa Histeria, czyli 44. numer naszego magazynu. W środku znajduje się pięć opowiadań grozy i cztery niepokojące ilustracje, które mamy nadzieję, że przypadną Wam do gustu tak jak nam.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad lipcowym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki

ZBIÓR NAJLEPSZYCH  
HISTERYCZNYCH OPOWIA DAŃ



SKLEP. OKOLICA STRACHU. PL



# CIAŁO OBCE

Marek Kwietniewski

Kolejny dzień minął niczym westchnienie żalu za czasem, którego nie da się zawrócić. Siedząc samotnie w swoim małym pokoju, Jorg Brzozowski taksował ponurym spojrzeniem niebieskich oczu swój stan posiadania. Widok, jaki się przed nim roztaczał, nie był zbyt budujący. Ukazywał bowiem fakt, że mężczyzna po czterdziestce, całe życie tyrający jak wół, dorobił się tylko trzydziestometrowej kawalerki. Składała się ona z pokoju, którego okna obdarzały lokatora wielce budującym widokiem na osiedle z wielkiej płyty o odnowionych ostatnio fasadach. Przypominało to raczej pudrowanie nieboszczyka niż rzeczywistą rewitalizację. Reszta mieszkania składała się z miniprzedzionka rozchodzącego się na lewo do ślepej kuchni, a na prawo do zatęchłej niczym nora borsuka łazienki. Pomieszczenie to wymykało się wszelkim standardom. O ile w slumsach Kalkuty czy Bombaju byłoby

rarytasem (z racji tego, że jednak jest), w fawelach Ameryki łacińskiej może uszłoby w tłoku, to jednak jak na kraj w samym środku Europy łazienka ta była ewenementem i polem do popisu dla mikrobiologów, gdyby tylko oczywiście dane im było się do niej dostać. Kuchnia zaś, mimo swych nikłych rozmiarów, była jednym wielkim zakaraluszonym horrorem.

Pokój, mimo że widny i przestronny, też pozostawiał wiele do życzenia. Jego ściany ostatni raz widziały farbę w dniu, w którym blok był oddany do użytku, zaś skąpe umeblowanie zdawało trzymać się w ryzach tylko dzięki własnej sile woli. W kącie stał stary telewizor, naprzeciwko niego zaś wrósł w podłogę wysłużony tapczan. Obrazu nędzy i rozpaczki dopełniał pokraczny stolik na samym środku, z którego wykwitła ogromna popielniczka najeżona dziesiątkami wypalonych petów.

Jedynym wyjątkiem pośród tej biedy i upadku był stojący w kącie za drzwiami regał na książki. Solidny, dębowy mebel – ręczna robota jakiegoś rzemieślnika z Podhala – pełny był starannie poukładanych książek. Były one największą (i w zasadzie jedyną) pasją Jorga już od lat młodzieńczych. Dawały mu chwilę wytchnienia od monotonii życia, zapewniały relaks i namiastkę szczęścia. Dzięki nim potrafił odciąć się od szarej rzeczywistości i coraz bardziej doskwierającej mu samotności. Książki też, a ściślej – ostatnia, którą udało mu się kupić – doprowadziły do jego zguby.

\*\*\*

– Dzień dobry, panie Brzozowski – rzucił listonosz do gospodarza, ledwie ten otworzył drzwi. Było piątkowe popołudnie i właśnie kończył zmianę. – Przesyłka dla pana. Polecony. Do tego z zagranicy – dodał, podsuwając mężczyźnie pod nos pokwitowanie i niewielką paczkę zapakowaną w szary papier.

– Witam, panie Zaremba – uśmiechnął się Jorg, odepchnął od drzwi Maxa, swojego co najmniej czterorasowego psa, i wyszedł na klatkę schodową. Nie zwykł przyjmować gości, nawet jeśli ci mieliby wpaść tylko do przedpokoju i tylko na chwilę. – To na pewno książka, którą zamówiłem. Czekałem na nią kupę czasu – dokończył, podpisując potwierdzenie odbioru.

– Książka? – skrzywił się listonosz – Pan już, panie Jurku, nigdy nie zmądrzeje. Kto dzisiaj czyta książki?

– Parę osób by się pewnie znalazło – rzucił gospodarz – na przykład ja.

Listonosz jednak wiedział swoje.

– E tam, panie, komu to potrzebne? Babę niech pan sobie lepiej znajdzie i zmajskuje

dzieciaka. A najlepiej kilka. Wtedy nie będzie pan miał czasu na głupoty.

Brzozowski nie dał się zbić z tropu.

– Albo dzieci, albo książki – zacytował. – Wie pan, kto to napisał?

– A gdzie tam, panie – zachnął się listonosz. – Ja i książki? Jedyne za Pana Tadeusza czasem się biorę, ale to nie więcej jak 0,7 na twarz, hie hie hie – zarechotał trochę zaskoczony swoim poczuciem humoru.

Jorg pokiwał głową z uśmiechem, odebrał paczkę i rzuciwszy zdawkowe „Do widzenia panu”, wszedł do mieszkania, zostawiając listonosza samemu sobie. Co za ludzie, pomyślał, totalne dno. Naród domorosłych myślicieli i filozofów od flaszki i dymania bliźnich na każdym kroku. Czy ten kraj wydał kiedyś na świat kogoś na miarę Nietzschego? Raczej nie. Westchnął, przekręcił klucz w zamku i spojrzał na trzymaną w ręku paczkę. Nareszcie – uśmiechnął się do własnych myśli. Nareszcie.

\*\*\*

Pies czekał karnie za drzwiami. Stanowił idealnie czarną mieszankę rasową (za nazwanie go kundlem właściciel był w stanie poturbować oszczercę) i był jedynym, za to wypróbowanym przyjacielem swojego pana. Cichy i spokojny, stanowił idealny materiał na towarzysza dla starego kawalera, który chociaż unikał ludzi, to jednak dzięki swojej pasji, którą było czytanie, nie czuł się samotny. Jako samouk posiadał dużą wiedzę, jednak przez swój trudny charakter nadal pracował w tym samym miejscu co dwadzieścia lat temu – na linii montażowej w fabryce samochodów. Nie skończył wyższej szkoły tylko dlatego, że nie znalazł takiej, której program nauczania by mu odpowiadał. Nie chciał tracić czasu na naukę czegoś, co go nie interesowało. Zostałby inżynierem i musiałby przyjąć kierowniczą posadę z całym tym niepotrzebnym mu bagażem – nadmiarem kasy, nadmiarem pracy i nadmiarem ludzkiego towarzystwa. To zaś wszystko odwodziłoby go od jego największej pasji – poszukiwania przejścia do innego świata. Jorg święcie wierzył w to, że człowiek jest tylko jedną z dróg, którymi potoczyła się ewolucja naszej planety. Wierzył też w to, że istnieją inne drogi; że świat, który dla nas jest realny i namacalny, może okazać się mrzonką i mirażem dla kogoś z zewnątrz. Kogoś, kto istnieje, mimo że go nie widzimy. Bo czy sami nie mamy czasami wrażenia, że ktoś nas obserwuje? Czy nie dostrzegamy (lub wydaje nam się, że dostrzegliśmy) czegoś kątem oka, a gdy się odwracamy, okazuje się, że nikogo nie ma? Co znajduje się w martwym punkcie naszej wyobraźni? Albo to uczucie, kiedy w zupełnie sobie obcym i nieznanym miejscu mamy wrażenie, a czasem wręcz pewność, że już tam kiedyś

byliśmy? Brzozowski był pewien jednego – tamten świat istniał, jednak był niewyczuwalny dla nas. Człowiek, mimo swych zdolności, jest jednak istotą upośledzoną. Jest taki jednostronny. Nawet wspiąwszy się na wyżyny intelektu, nie potrafi zrozumieć świata wokół siebie, a co dopiero światów, których dostrzec nie potrafi. Zatracił więź z naturą. Odciał się od korzeni i nie potrafi nawiązać łączności z Matką Ziemią. Obce są mu jej pradawne sekrety. Oglupiony złudzeniem materializmu, przestał wierzyć. Nie wierzy w bogów, w żywioły, w ziemię i w kosmos. Nie rozumie starożytnych mitów i ludowych podań. To właśnie ta mądrość, która dotarła do nas z bezkresnych czeluści kosmosu, jest mu obca. Człowiek dwudziestego pierwszego wieku jest ślepy, głuchy i bezradny. Szczególnie wobec tych, których czas jeszcze nie nadszedł, ale wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że ich przebudzenie jest coraz bliższe.

Brzozowski o tym wiedział, zaś wiedzę tę gromadził już od wielu lat. Prowadząc samotne życie, pracował ciężko, żeby zarobić na skromną egzystencję, a także aby uzupełniać zasoby swojej prywatnej kolekcji. Książek, które miał na regale, próżno byłoby szukać na półkach bibliotek w całej Europie. *Codex gigas* z jedenastego wieku, *Słownik przeklętych* z 1861 roku, *Klasyfikacja demonów* Michaela Psellea, *Nienazwane kulty* von Junzta i wiele innych ksiąg, w większości uważanych za dzieła przeklęte. Dzisiaj dotarła kolejna – zwieńczenie jego żmudnych i długoletnich poszukiwań – *Al Azif* Abdula Alhazreda, siedemnastowieczna kopia osławionego *Necronomiconu* wydana w Hiszpanii. Oczywiście po łacinie. Nie stanowiło to dla Jorga żadnego problemu, gdyż znał biegle ten język. Władał także klasyczną greką, angielskim, niemieckim, hiszpańskim, rosyjskim, no i oczywiście polskim. Zamiłowanie do pochłaniania wiedzy zaszczerpił w nim mimowolnie jego dziadek. Zmarły w 1990 roku Wilhelm Thoma swoim życiorysem mógłby obdzielić kilka osób. Urodził się w 1916 roku w Koenigshutte, na Górnym Śląsku, jako obywatel Rzeszy Niemieckiej (drugiej z kolei). Jego ojciec, Konrad, uczestniczył we wszystkich powstaniach śląskich, walcząc z Niemcami o włączenie ojczystego regionu do nowo powstałego państwa polskiego. Powstańcy odnieśli sukces i po wygranym plebiscycie rodzina Thomów mieszkała wciąż w tym samym miejscu, które jednak zmieniło nazwę na Chorzów. Tak było do chwili, kiedy to odrodzona Rzesza (już trzecia z kolei) upomniała się o swoje, utracone nie tak dawno, włości. Ojca rodziny, jako byłego powstańca, uznano za niebezpiecznego polskiego nacjonalistę i wysłano do obozu koncentracyjnego, gdzie wkrótce zmarł. Nie przeszkadzało to jednak w tym, żeby jego jedyne syna, Wilhelma, uznać za stuprocentowego Niemca i wcielić do Wehrmachtu. Młody człowiek jakimś cudem przeżył wojnę i znalazł się w rodzinnym Chorzowie, gdzie podjął pracę w kopalni węgla kamiennego. Przetrwiał szykany



komunistów i został uznany za Polaka, ale w 1946 roku został wysłany, wraz z tysiącami innych śląskich górników, na przymusowe roboty w kopalniach Związku Sowieckiego. W tym samym roku urodziła się jego córka Hanna – matka Jorga. Wrócił w 1959 roku i był już całkiem innym człowiekiem. Ciężka niewolnicza praca w kopalni w okolicach Czelabińska odcisnęła na nim okrutne piętno. Ale było coś jeszcze. Na początku milczący, z biegiem lat coraz więcej opowiadał o dziwnym mieście, które zostało odkryte w okolicy, gdzie był zesłany, a które przymusowi robotnicy musieli odgruzowywać. Im był starszy, tym więcej o tym mówił, jednak jego bliscy nie chcieli tego słuchać. Jak mówili – „Na stare lata popadł w obłąd”.

Gdy w maju 1971 roku urodził się jego wnuk – dziadek snuł opowieści o mrocznej, cyklopowej sylwetce miasta wydobywanego z otchłani ziemi przez ludzkie mrówki. Opisywał wrażenia, jakich doznawał, gdy mamucia architektura budowli przytłaczała oglądających. Ogromne krokwie i potężne ściany zdawały obejmować się nawzajem w stalowym uścisku. Kruche sylwetki ludzkie majaczyły nierealnie na tle konstrukcji, która swym ogromem i rozmachem wykonania sprawiała, że wydawały się one jeszcze bardziej nikłe i bezbronne. Śmieszność gatunku ludzkiego unaoczniała się tam w całej swej okazałości. Gdy byli sami, starzec roztaczał przed Jorgiem wizje fantastycznych glifów przedstawiających krwawe rytuały i nieludzkie sylwetki tych, którzy byli budowniczymi tej ponurej metropolii. Starzec zmarł, gdy jego wnuk osiągnął pełnoletniość, ale zdążył zaszczerpić w nim przekonanie, że człowiek nie był pierwszą istotą na ziemi, która stworzyła cywilizację. Że przed nami był tu ktoś jeszcze.

Jorg bez reszty poświęcił się nauce. Rzucił szkołę, gdyż ta zaśmiewała jego głowę zupełnie niepotrzebnymi sprawami. Żeby nie być ciężarem dla rodziców – poszedł do pracy. Całą resztę czasu poza nią czytał, pochłaniał wiedzę i śledził wiadomości. Miał przeczucie, że prędzej czy później coś musi się wydarzyć. Miasto, przy odkopywaniu którego pracował jako niewolnik jego dziadek, było już od dawna opuszczone. Wiedział to na pewno, gdyż część glifów, które widział Wilhelm Thoma, przedstawiała Pradawne Istoty burzące mury i schodzące pod ziemię. Ostatnie odkrycia rosyjskich naukowców nie pozostawiały wątpliwości – znajdujące się w obwodzie czelabińskim starożytne miasto Arkaim było martwą ruiną. Jorg wiedział, że jeśli coś nastąpi, będzie to sygnał z wnętrza ziemi. Albo z głębin oceanu. Nie mylił się.

W 1997 roku w rejonie Pacyfiku zarejestrowano dźwięk niezidentyfikowanego pochodzenia. Pojawia się on okresowo i z roku na rok jest coraz mocniejszy. Sygnał ma częstotliwość niespotykaną nigdzie indziej i nigdzie wcześniej nierejestrowaną. Nikt nie

potrafi wytłumaczyć, skąd pochodzi ani jakie jest jego źródło. Brzozowski jednak domyślał się, że coś zbudziło się pod dnem oceanu i że należy oczekiwać jego przyjścia.

Ostateczną odpowiedź miała mu dać książka, którą właśnie miał przed oczyma. *NECRONOMICON*. Starożytna księga, przez wielu uważana za mit, zaś przez część ludzi, którzy ją znali – za mistyczne majaczenia obłąkanego umysłu. Ale Jorg był pewny, że Abdul Alhazred napisał prawdę. Przedwieczni istnieli i prędzej czy później powrócą na swoje stare śmieci. Że to nastąpi – nie miał wątpliwości. Pytanie, jakie sobie zadawał, brzmiało – kiedy? Nie wątpił też, że nadejdzie wtedy czas na konfrontację między rzeczywistymi władcami tej planety – Cthulhu i jego pomiotem – a uzurpującym sobie prawo do jej eksploatacji gatunkiem ludzkim. Wiedział też, że skutki tego zderzenia będą jednoznaczne – ludzkość jako odrębny gatunek zostanie starta z powierzchni ziemi i nie ostanie się nikt, kto mógłby wspomnieć o niej i o jej dokonaniach. Z chwilą ponownego przyjścia na świat Wielkich Przedwiecznych człowiek, największy organizm pasożytniczy w dziejach planety, przestanie istnieć.

Jorg Brzozowski z fascynacją przeglądał złowieszczy wolumin. Raz po raz zatrzymywał się i czytał na głos fragmenty, które wpadły mu w oko. Czuł się przy tym trochę nieswojo – tak jakby ktoś wciąż zaglądał mu przez ramię. Nagle zauważył małą larwę jakiegoś owada wytrwale pełznącą po stronicy otwartej księgi. Ujął ją delikatnie między kciuk i palec wskazujący i roztarłszy na miazgę, jak gdyby nigdy nic kontynuował lekturę. Minęła kolejna godzina. Jako że już dawno zapadł zmierzch, postanowił, że prześpi się, a nazajutrz wróci do studiowania księgi. Zadzwoi wcześniej do pracy i poprosi o parę dni wolnego. Nie mógłby pracować ze świadomością, że ma w domu tak groźną i wspaniałą rzecz.

\*\*\*

Długo nie potrafił zasnąć. Gdy wreszcie mu się to udało, nawiedziły go przerażające wizje. Przede wszystkim czuł przytłaczającą obecność czegoś nieokreślonego, czegoś nieskończenie złego. Miał wrażenie, że ciemność za oknem bacznie go obserwuje. Mrok w jego snach nie był tylko brakiem światła, ale żywą, obcą i wrogą istotą, która oplotła go żarłocznie niczym trujący bluszcz. Czuł na piersiach ogromny ciężar i nie mógł się ruszyć. Gdzieś w oddali słyszał cichy skowyt swojego psa. Zwierzę skamlało żałośnie, jakby wołając go z zaświatów. Podniósł się z łóżka z wielkim wysiłkiem. To, co zobaczył, sprawiło, że zimny pot, którym zroszone było całe jego ciało, w jednym momencie zamienił się

w mikroskopijne kryształki lodu. Mężczyzna patrzył w niemym przerażeniu na wijącego się na swoim kojcu Maxa. Zwinięte w kłębek zwierzę w zapamiętaniu szarpało zębami mięso ze swoich tylnych łap. Prawie w ogóle nie było widać krwi, a jednak jedna z kończyn udręczonego zwierzęcia była już całkowicie ogryziona z mięśni tak, że właściciel widział wyraźnie nagą, białą kość. Pies, skamłąc z bólu, nie przestawał pożerać swojej drugiej łapy, jednocześnie łypiąc na swojego pana wzrokiem pełnym bezgranicznej męki i szaleństwa...

Zduszony okrzyk przeszył ciszę małej kawalerki. Jorg zerwał się z łóżka przerażony. Jego twarz była trupiobladą, a całe ciało pokrywał zimny pot. Nieprzytomnym wzrokiem rozglądał się wokół, jakby nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Długo nie umiał się uspokoić.

– A więc to sen – wyszeptał pobielalymi wargami – to tylko zły sen.

Powoli zaczął dochodzić do siebie. Wstał z łóżka i otworzył okno. Spojrzał na znajdujący się w kącie pokoju kojec i zamarł. Zwierzę nie ruszało się. Podeszedł do niego i przyjrzał mu się uważnie.

\*\*\*

Sylwetki bloków rysowały się na tle nieba niczym poczerńiałe zęby monstrualnego trupa. Większość z nich, nieodnawiana od czasów komuny, była wylęgarnią karaluchów, biedy, agresji i rozpacz. Pustych twarzy lokatorów, mijających się wzajemnie z obojętnością, nie ożywiały nawet oczy – okaleczone brakiem zieleni, nadmiarem telewizji i coraz większą ilością alkoholu. To miejsce ginęło powoli i zdawało się pociągać w otchłań śmierci wszystkich, którzy tu wegetowali. Nawet słońce miało w tym miejscu szarawy odcień, jakby jego oblicze pokryła cieniutka warstwa pleśni.

Jorg Brzozowski wracał do swojego mieszkania. Po tym, co dzisiaj przeżył, jego psychika doznała poważnego uszczerbku. Godzinę temu pochował Maxa, swojego jedynego przyjaciela, w cieniu dębów pod płotem miejskiego cmentarza. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, co się właściwie stało. Kiedy rano podeszedł do kojca, wydawało mu się, że pies twardo śpi. Nie ruszał się jednak i nie oddychał. Z jakiegoś powodu zdechł w nocy. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, w jakim był stanie – kiedy Jorg dotknął martwego zwierzęcia, okazało się, że jest nie tyle sztywny, ale jakby wysuszony. Jak gdyby coś wysssało z niego wszystkie soki. Wczoraj jeszcze głaskał grzbiet tętniącego życiem pupila, dziś pod palcami czuł suchą, pergaminową skórę pokrytą skołtunionym włosiem. Całość sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała rozsypać się w proch. Gdy na martwym truchle zauważył parę

pełnących larw, postanowił włożyć psa do foliowego worka na śmieci i jak najprędzej pogrzebać. Zdziwiło go to, że robaki pojawiły się tak szybko. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ciało jego psa, zanim jeszcze zdechł w męczarniach, było już kokonem dla wijącej się kolonii robactwa.

Wróciwszy do mieszkania, mężczyzna poczuł się lepiej. Przez cały czas, gdy przebywał poza nim, dręczył go dziwny niepokój. Jakiś głos w środku głowy mówił mu, że musi wrócić i dokończyć to, co zaczął. Co chwila miał wrażenie, że ktoś stoi mu za plecami. Dopiero gdy znalazł się we własnych czterech ścianach, uczucie to zelżało. Jednak nie ustąpiło zupełnie. Czuł się dziwnie. Z jednej strony był rozbity i roztrzęsiony – stracił przecież swojego jedyne przyjaciela. Przeżyli razem ostatnie osiem lat. Z drugiej strony, był strasznie podekscytowany – po wielu latach poszukiwań udało mu się wreszcie zdobyć upragnioną księgę. Nie dość, że pochłonęła ona całe jego oszczędności, to i tak musiał jeszcze wziąć na ten cel duży kredyt. Emerytowany pracownik muzeum antropologii w Ciudad Mexico sporo zaśpiewał sobie za odnalezienie i wysłanie jej do Polski. Jorg jeszcze o tym nie wiedział, ale wraz z tą przesyłką wpuścił do swojego małego mieszkania śmierć.

\*\*\*

Mętny zmierzch rozmywał kontury bloków. Słońce skryło już swoje oblicze za odległą linią horyzontu, a ciemność jak żywa istota powoli i nieubłagane przejmowała władzę nad miastem. Z okna swojej kawalerki patrzył na to wszystko ponadczterdziestoletni mężczyzna. Zawsze szczupła twarz teraz była ekstremalnie wychudzona, a wąskie usta przez cały czas szeptały jakieś modlitwy. Wpatrywał się w cienie zalegające za oknem, jednak w niebieskich oczach nie było ciekawości, tylko strach. Prymitywny, zwierzęcy, nagi strach. Od dwunastu dni nie opuszczał mieszkania. Prawie nic nie jadł i nie pił. Najgorsze ze wszystkiego było to, że od dziesięciu dni nie odważył się zasnąć. Drżał na samą myśl powtórzenia tych okropnych wizji, które rodziły się w jego umyśle, odkąd dostarczono mu *Al Azif*. Bezgłośnie szepty wypełniały jego głowę, spychając go powoli, lecz nieubłagane w obłąd. Senne koszmary, których doświadczył, ta ustokrotniona suma wszystkich jego ukrytych lęków i fobii, sprawiły, że nieomal umarł ze strachu, a jego ciało stało się pożywką dla milionów wijących się larw. Wciąż wydawało mu się, że czuje ich dotyk na sobie i jest w stanie zrozumieć ich myśli.

Spojrzał przekrwionymi oczyma na *Necronomicon* leżący na stoliku. Przeczytał go w całości i nie wyszło mu to na dobre. Parę razy chciał przestać, chciał uciec z mieszkania,

nawet gdyby miał otworzyć okno i wyskoczyć z siódmego piętra na twardy i zimny chodnik przed blokiem, ale nie potrafił. Księga jak gdyby znała jego myśli i nie pozwoliła mu na to. Musiał do niej wrócić, musiał ją przeczytać. Nie potrafił się od niej uwolnić. Otaczała ją niesamowita aura – było to coś takiego, że nawet w upalny dzień czuło się zimne muśnięcie lęku. Jakby podświadomie człowiek czuł obecność czegoś nieludzko starego i nieskończenie złego. Całą noc spędził przy zamkniętym oknie, wypatrując czegoś w ciemnościach. Miał wrażenie, że mrok na zewnątrz oddaje mu spojrzenie. Czuł, że jest w potrzasku. Księga, na którą starał się nie patrzeć, odsłoniła mu wiele tajemnic niedostępnych zwykłym śmiertelnikom. Drżącymi dłońmi zapalił papierosa i pogrążył się w zadumie. Człowiek mianował się największym drapieżcą świata, pomyślał. Istnieją jednak drapieżniki wzbudzające strach w człowieku już samym swym wspomnieniem. Na ich widok dusza ludzka szamocze się w panice, chcąc wyrwać się z ciała, serce zamiera, a rozum ludzki ścina lód. Nienazwani, Nieśmiertelni, Przedwieczni. Żyjący poza czasem i pojmowaniem, wśród których najbardziej krwawe i bestialskie czyny człowieka są tylko nic nieznaczącymi drobiazgami.

\*\*\*

Brzozowskiemu szumiało w uszach i czuł się fatalnie. Żeby nie zasnąć, starał się przypomnieć sobie najlepsze momenty swojego życia. Na próżno. Wszystkie jego wspomnienia ograniczały się tylko do ostatnich dwóch tygodni – od chwili, kiedy przekłety *Necronomicon* znalazł się w jego rękach – aż do teraz. Jakby całe jego wcześniejsze życie nie istniało, zostało wymazane. Pamiętał narastające poczucie lęku, gdy tylko wychodził z mieszkania. Ciągle czuł na sobie czyjeś spojrzenie. Ostatni raz wyszedł na zewnątrz na drugi dzień po zakopaniu psa. Strach go paraliżował. Sny przerażały. Całe noce w mieszkaniu paliły się wszystkie światła. Tak już od dwunastu dni. Wtedy właśnie w nocy zauważył cienie za drzwiami wejściowymi. Jakby ktoś za nimi stał. Sprawdził przez judasza – nie było tam nikogo. Ale cienie nie zniknęły. Nie miał odwagi otworzyć drzwi, aby sprawdzić. Nie odważył się również drugi raz spojrzeć przez wizjer. Po zaświeceniu światel wewnątrz nie było ich widać, ale pozostało uporczywe uczucie czyjejś obecności.

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że to, co dzieje się wokół niego, jest tylko złudzeniem. Że osiągnął już stan, w którym jego własne ja stało się dla niego zbędne. Że nie istnieje już jako jednostka. Ewoluuował. Stał się wielością. Wobec zwielokrotnionej, wijącej się w nerwowych spazmach świadomości kolonii ciał obcych żyjących w nim jego ciało

stawało się obce jemu samemu. Czuł, że jego własna jaźń przegrywa decydującą bitwę o samoświadomość i rozpada się w wieloświadomość budowniczych nowego ładu – porządku, który nastanie, gdy jego cielesna powłoka posłuży za zaprawę do budowy nowej cywilizacji w odwiecznym, nieprzemijającym kalejdoskopie życia. Nic w przyrodzie nie ginie. On sam, nie wiedząc tego, zapewnił sobie nieśmiertelność, udzielając schronienia egzotycznym przybłędom. Klamka zapadła, a on się podporządkuje. W sumie – czy ma jakieś inne wyjście?

\*\*\*

Pod koniec piętnastej nocy bez snu czuł, że znalazł się na skraju wytrzymałości. Prawie że wpadł w panikę, gdy przepaliła się ostatnia żarówka. Jednak w tej samej chwili za oknem rozblęły pierwsze promienie porannego słońca. W jego udręczonych oczach pojawiła się niska iskierka, złudzenie radości. Wygrał kolejny dzień życia. Wiedział jednak, że jego żywot dobiega kresu i że jest to ostatni wschód słońca, który ogląda.

Tego dnia niebo nad całym Śląskiem przykrywał gruby, ołowiany całun chmur. Wśród rozbrzmiewających głuchych pomruków odległych grzmotów mijał kolejny duszny letni dzień. Nadchodząca noc zapowiadała się burzliwie – tuż po dwudziestej pierwszej ciężkie krople zaczęły spadać na spaloną słońcem ziemię. Nie minęło pięć minut, a niebo pękło na pół, zrzucając swe brzemie na domy i ulice, zamieniając drogi w rwące potoki. Ściana deszczu zdawała się zmywać z powierzchni miasta wszelki nagromadzony tam przez lata brud.

W tym samym czasie Jorg Brzozowski wpatrywał się martwymi oczyma w rozmazany deszczem, ponury krajobraz blokowiska, które było mu domem przez całe jego żalosne życie. Pasek od spodni, który zdławił jego ostatni oddech, był przytwierdzony do framugi drzwi od pokoju. Mimo że z ust i nosa co rusz wypełzały mu białe robaki, egzotyczni przybysze z dalekiego Meksyku, którzy znaleźli przytulne schronienie we wnętrzu jego ciała, to w jego oczach, po raz pierwszy od chwili ich przybycia, pojawił się spokój.



# DOM PRZY LIPOWEJ 17

Rafał Borkowski

Jesień tego roku była wyjątkowo krótka. Już w październiku pojawiły się pierwsze przymrozki. Na szczęście mieszkańcy wsi Zalesie na północy Mazowsza mieli powody do dumy. Szczęśliwie udało im się zakończyć wykopki, tak iż piwnice ich domostw wypełniły się tonami ziemniaków, które mieli zjeść lub sprzedać, niewielką zaś część przeznaczyć na wydestylowanie znanego i z przyjemnością spożywanego w okolicy bimbru. Ten znakomity napój, jak wierzono, pozwalał chłopom przetrwać długie, mroczne, zimowe miesiące, czasami zaogniał kłótnie między kolegami, nierzadko pomagał również powiększać się rodzinom.

Jednak nie wszyscy mieszkańcy patrzyli w niedaleką przyszłość z takim optymizmem i pogodą ducha. Mieszkający na końcu wsi Bogdan Kowalski, zwany przez sąsiadów Bodzio, nie zajmował się rolnictwem. Miał na karku 51 lat i wciąż pozostawał kawalerem. Próżno się

dziwić, gdyż Bodzio był niskim, łysiejącym blondynem o tępym wyrazie twarzy. Jego znakiem rozpoznawczym były straszliwie popsute zęby; gdy tylko zaczynał mówić, wszyscy odsuwali się od niego. Ponadto uchodził w okolicy za dziwaka, brudas a i samotnika. Z wykształcenia był kierowcą mechanikiem, jednak nigdy nie pracował w zawodzie. Przez całe życie mieszkał w starym drewnianym domu wraz z rodzicami Janem i Marią oraz młodszą, niepełnosprawną intelektualnie siostrą Ewą. Rodzina przez wiele lat żyła skromnie, do jej utrzymania służyły pieniądze uzyskiwane z niewielkiego, liczącego 4 hektary, gospodarstwa rolnego, dwóch emerytur i renty.

Obecnie dom przy Lipowej 17 przypominał ruinę, na podwórku wałały się sterty śmieci i butwiejących starych desek. Od blisko roku Bogdan mieszkał sam. Na początku lat pięćdziesiątych, gdy – jak mówił jego tatuś – wprowadzono złodziejski kapitalizm, rodzina Kowalskich popadła w ogromne długi wynikające z niepłacenia podatków gruntowego i od nieruchomości. Wówczas to Jan i Maria bardzo podupadli na zdrowiu. Tragedia nawiedziła rodzinę wiosną, gdy nieoczekiwanie Jan zmarł w domu na zawał serca. Bogdan wraz z matką i siostrą pozostali sami w gospodarstwie. Dzięki dobrej woli lokalnych urzędników umorzono im dług. Od tej pory podstawą utrzymania rodziny był niewielki dochód z dzierżawy i comiesięczne odwiedziny listonosza przynoszącego pieniądze z ZUS-u.

\*\*\*

Na całym parterze plebanii panowało wielkie poruszenie wynikające ze spodziewanego od dawna przyjazdu nowego księdza proboszcza. Kazimiera Sokołowska z mieszaniną strachu i nadziei czekała na pojawienie się na podjeździe ojca Jana Henryka Wojdy. Jego przyjazd był nie lada wydarzeniem, gdyż krążyły słuchy, iż nowy kapłan ma tytuł doktora i wykłada w seminarium w Ełku. Pojawienie się tak wykształconego człowieka wymagało posprzątania całej plebani, podwórza i przygotowania odpowiedniego posiłku, aby godnie powitać taką osobistość.

Nowy proboszcz pojawił się w Zalesiu około południa. Jan Henryk Wojda, jadąc swym nowym polonezem caro i słuchając Radia Maryja, lustrował zabudowania i siedzących na ławkach przed domami mieszkańców. Zalesie jak większość wsi na północnym Mazowszu składało się w większości z drewnianych chałup krytych eternitem. Lokalna społeczność przesiadywała całymi dniami pod sklepem, racząc się tanim winem lub piwem, dyskutując, jak wszędzie jest źle. Rozprawiano o suszy, niskich cenach w skupie oraz złodziejstwie wśród rządzących w Warszawie i oddalonym o dziesięć kilometrów urzędzie gminy. Na szczęście



miejsowość taka jak ta idealnie nadawała się na miejsce „schronienia” dla kapłana chcącego przeczekać niedawno odkryty skandal obyczajowy, w który został wplątany.

Wjechawszy na podwórze przed plebanią, Wojda wyłączył radio i zamknąwszy auto, skierował się w stronę wyraźnie zdenerwowanej gospodyni. Sokołowska z wielką uniżonością i szacunkiem oprowadziła go po najważniejszych pokojach i salonie. Duchowny był pod dużym wrażeniem jej pracy włożonej w zachowanie czystości i porządku w pomieszczeniach. Poczuł jednak niemały ból w sercu, dowiedziawszy się, iż w jego nowym gniazdku brak jest telewizora, a barek świeci pustkami. Zapewne poprzedni proboszcz lubił zaglądać do kieliszka, cóż praca przy nawracaniu zbłąkanych duszyczek jest bardzo trudna i niewdzięczna, trudno więc dziwić się pasterzowi, iż chcąc odpocząć, sięgał sporadycznie po łyżeczek czegoś mocniejszego.

Pierwsze miesiące posługi duszpasterskiej w Zalesiu pozwoliły Wojdzie poznać najważniejszych mieszkańców wsi, w tym dewotki z kółka różańcowego. Od samego początku, jak tylko go zobaczyły, zapraszały go do siebie na herbatę, kawę i pyszny serniczek, nie szczędząc plotek i opowieści o mieszkańcach. Wieczorami, gdy wychodził do sklepu po papierosy, sklepikarz witał go głośnym „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”, inni mieszkańcy schodzili mu z drogi, prawdopodobnie onieśmiało ich jego wykształcenie i władza, jaką dawała mu pozycja Kościoła w III Rzeczypospolitej. W czasie niedzielnej mszy w kościele zwykle był komplet ludzi, mimo że biedni nie żalowali pieniędzy na tacę. Najbardziej nie lubił spowiadać mieszkańców w konfesjonale. Mężczyźni żalowali nadmiernego picia alkoholu i grania w karty na pieniądze, a kobiety obgadywania innych za plecami. Dzieci spowiadały się z nieposłuszeństwa wobec rodziców i nieuczenia się w szkole. Prawdziwą rzadkością były sytuacje, gdy ktoś przyszedł się pochwalić, że wywoził śmieci do lasu czy był raz lub dwa u sąsiadki, gdy jej mąż był w mieście, a pociechy w szkole. Można powiedzieć, że życie na wsi było spokojne i schematyczne.

Wszystko zmieniło się pewnej kwietniowej nocy, wówczas to na plebani pojawił się niespodziewany gość. Był nim Bogdan Kowalski, znany księdzu z opowieści starszych dam jako wioskowy głupek i bezbożnik z uwagi na fakt, iż w niedzielę omijał kościół szerokim łukiem. Prawdziwym ekspertem w kwestii lokalnych skandali była Sokołowska, która zdawała się znać wszelkie historie krążące nie tylko we wsi, ale nawet w sąsiednich gromadach.

Widok gościa na progu wywołał niemałe zaskoczenie duchownego. Wpływ miało na to zarówno jego wygląd, tj. nieogolona od wielu dni twarz, stary brązowy kozuch na plecach i sięgające do połowy łydek czarne gumofilce. Najstraszniejszy był jednak wyraz twarzy

Bogdana, wytrzeszczone w przerażeniu oczy, biała jak kreda skóra oraz drżące w ataku paniki usta, które sprawiały wrażenie, iż rozmówcą nie jest wioskowy głupek, a opętany szaleństwem morderca.

Biorąc pod uwagę potworny smród niemytego ciała i niepranych ubrań, ksiądz postanowił przeprowadzić rozmowę ze swym gościem na dworze przed plebanią. Pytany o powód odwiedzin Bogdan wykrzyknął:

– Proszę księdza, pomocy! Diabeł jest u moim domu!

Nie pierwszy raz przyszło Wojdzie wysłuchiwać tego rodzaju opowieści od swych parafian. Mało to razy lokalni pijaczkowie w napadach delirki przychodzi do dalszych krewnych, zebrali pod sklepem o drobne na zakup wina, czasami zaczepiali nawet ludzi na drodze oraz przychodzili na plebanie prosić o wspomóżenie, rzekomo na leki dla chorych dzieci.

– Bogdanie, jesteś pewien, że diabeł jest w twoim domu?

– O tak, proszę księdza! – wykrzyknął Bogdan jak w amoku. – Jestem pewien!

– A gdzie dokładnie się on znajduje? – zapytał z poważną miną duchowny.

– Proszę księdza, on jest na strychu i to nie sam. W nocy skacze i hałasuje, nie mogę przez niego spać, a nawet jak zasnę to on mi się śni! – wyrzucił z siebie z szybkością światła przerażony Kowalski.

Na nic zdały się sugestie księdza, aby jego gość zaprzestał pić alkoholu, którego nadużywanie jest grzechem najcięższym. Również propozycja obecności na najbliższej mszy w niedzielę i wyspowiadania się nie przekonały Bogdana do powrotu do domu. Ostatecznie Jan Henryk Wojda zgodził się udać ze swym gościem do jego zagrody celem zbadania sprawy. Gdy jego gość szedł pierwszy w stronę furtki, duchowny zauważył na jego wytartych niebieskich dzinsach brązowe błamy nieco poniżej pasa. Widok ten wywołał u niego obrzydzenie i ostatecznie przesądził, iż drogę na Lipową pokonali piechotą, pozostawiając poloneza w garażu.

Na miejscu oczom księdza ukazała się nędzna drewniana chałupa z dachem pokrytym blachą wraz z wałącymi się budynkami gospodarskimi. Jego uwagę zwróciło uchylone na strychu okno, które otwierało i zamykało się wraz z podmuchami jesiennego wiatru. Na podwórku pełno było śmieci, gruzu oraz zbutwiałych od deszczu desek. Niewiele to znaczyło w obliczu tego, co Wojda zastał wewnątrz domu Kowalskiego. Podłoga pokryta była wszelakimi śmieciami, pełno było na niej pustych opakowań po kaszy, ryży, puszek po konserwach, szklanych litrowych butelek ze zdartymi etykietami oraz powyrywanych kartek pokrytych czymś brązowym. W całym domu panował zapach stęchlizny, brudu i... moczu. W

największej izbie stał piec kaflowy, tapczan, na którym spał gospodarz, i stół przykryty dziurawą ceratą w kwiaty. Największe zaskoczenie u duchownego wywołał jednak widok ścian. Na każdej z nich znajdował się krzyż oraz kilka obrazów przedstawiających Matkę Boską, św. Jana i Piotra oraz obecnego papieża.

Wstępne oględziny nie wskazywały, aby w domu działały się jakieś zjawiska paranormalne. Proboszcz zamierzał już przygotowywać swą przemowę skierowaną przeciwko krnąbrnemu alkoholikowi. Chciał wypomnieć mu, czym jest grzech fałszywego świadectwa oraz że przez jego żarty zabrały mu cenny czas, jaki miał zamiar przeznaczyć na modlitwę za dusze podobnych mu degeneratów, gdy wtem nad ich głowami rozległ się wielki huk. Na ten dźwięk ksiądz dosłownie poderwał się do góry, natomiast Bodzio zaczął krzyczeć.

– Proszę księdza, on jest na górze – wyjąkał przez zaciśnięte z rozpaczy gardło gospodarz.

– Uspokój się – przesadnie podniesionym głosem powiedział ksiądz.

– On mieszka na strychu.

– Niczego tam nie ma, pewnie wiatr zamknął okno na strychu i stąd ten hałas.

– Ja się boję, proszę księdza – nie słuchając rozmówcy, wydukał przerażony.

– W takim razie chodź wejdziemy na strych i sprawdzimy to – nakazał pewnym siebie głosem proboszcz.

Widok rozgniewanego proboszcza wymógł na gospodarzu chwilowe opanowanie nerwów. Wystarczająco długie, aby ten zdążył pokazać mu drabinę prowadzącą na strych oraz wdrapać się po niej na górę zaraz za duchownym.

Znalazłszy się na miejscu, oczom Wojdy ukazało się zaniedbane, pełne różnego rodzaju sprzętów poddasze. Czuć było hulający pod dachem zimny nocny wiatr. Całe pomieszczenie oświetlała niewielka żarówka wisząca na niezabezpieczonym kablu na środku strychu. Podłoga przedstawiała obraz nędzy i rozpaczy, pełna była mysich odchodów. Dlatego też ksiądz musiał mocno się nagimnastykować, aby nie nadepnąć na żadną z „niespodzianek”. Kilka kroków od drabiny znajdowało się lekko otwarte, podwójnie przeszkłone, potłuczone okno. Na podłodze znajdowało się kilka większych kawałków szkła. Ksiądz szybko wydedukował, iż zapewne gospodarz zapomniał zabezpieczyć okno na zimę, przez co w czasie ostatnich wichur otworzyło się, uderzając raz za razem w ścianę budynku. Natomiast powstały chwilę temu huk spowodowany był zapewne silniejszym uderzeniem, co w efekcie doprowadziło do zbiccia szyby.

Wojda zaczął odwracać się w stronę Bogdana, by podzielić się z nim swoją teorią, gdy jego uwagę przykuła wielka niebieska plandeka w rogu strychu. Kierowany nieznanym dotąd

przecuciem podszedł do niej, wyciągnął rękę, aby ją podnieść, gdy nagle usłyszał za sobą krzyk gospodarza.

– Nie! Nie dotykaj! Zostaw!

Zaskoczony duchowny odwrócił się w stronę szaleńca. Na jego twarzy częściowo ukrytej w mroku dostrzegł oczy pełne gniewu, nienawiści i... łez.

– Czego mam nie dotykać? – zapytał klecha.

– Odsuń się stamtąd – warknął w odpowiedzi Kowalski, którego wzrok błyskawicznie przesuwał się raz za razem z księdza na plandekę.

Rozdrażniony zachowaniem kmiotka ksiądz proboszcz Jan Henryk Wojda postanowił dać mu nauczkę. Nie będzie na mnie głosu podnosił śmierdzący wioskowy głupek. Za kogo on się uważa, przychodzi po nocy na plebanie, biadoli o diable, prosi o pomoc, płacze, a w dodatku śmierdzi od niego ja z wychodka latem, pomyślał oburzony ksiądz.

Nie bacząc na krzyki i wrzaski Kowalskiego, pochylił się i podniósł jednym ruchem plandekę. To, co pod nią zobaczył, sprawiło, że ugięły się pod nim kolana. Zatoczył się pod ścianę, krzycząc:

– O Jezu!

Pod plandeką spoczywały zwłoki. Poza strasznym widokiem do nosa księdza dotarł potworny smród gnijącego ciała, który każdego potrafiłby zwalić z nóg. Widać było, iż znajdowały się na strychu od dawna. Nabrawszy potężny haust powietrza, Wojda zaczął się przyglądać potwornemu znalezisku. Bez wątpienia były to ciała dwojga ludzi – dwóch kobiet. Ubrane były w długie suknie – brązową i niebieską. Ich palce były wygięte w sposób nienaturalny, przypominały ptasie szpony. Skóra na rękach miała kolor popielaty z widocznymi gdzieniegdzie czarnymi plamami. Najstraszniejszy widok przedstawiały jednak ich twarze z rozdziawionymi jak do krzyku ustami, pozbawione oczu, ze śladami maleńkich nadgryzień na policzkach, po których leniwie poruszały się białe tłuste larwy.

Opanowawszy nieco nerwy, ksiądz Jan Henryk zaczął powoli przesuwać się w stronę drabiny. Wtem usłyszał za sobą skrzypnięcie podłogi. Od razu przypomniał sobie, że poza nim na strychu znajduje się jeszcze gospodarz. Powoli odwrócił głowę. Bodzio stał kilka kroków od księdza, a jego twarz oświetlał nikły blask żarówki wydobywający się za jego głowy. Mimo że światła było niewiele, duchowny doskonale dostrzegł głęboką nienawiść i morderczy grymas na twarzy Kowalskiego. Jego spojrzenie skojarzyło mu się z oczami opętanej dziewczynki Regan MacNeil z filmu *Egzorcysta*. W obawie przed atakiem szaleńca zaczął pospiesznie rozglądać się za czymś, czego mógłby użyć do obrony. Bodzio jednak nie ruszył się z miejsca nawet o milimetr, stał tylko i mierzył księdza wzrokiem.

Wówczas to duchowny przypomniał sobie opowiedzianą mu przez gospodynię historię tej rodziny i pośpiesznie powiedział pierwszą myśl, jaka przyszła mu do głowy.

– Powinniśmy pomodlić się za dusze tych ludzi i poprosić Boga o ich zbawienie.

Duchowny zaczął intonować na głos Ojciec Nasz, ukradkiem spoglądając na gospodarza, zastanawiając się, co ten zrobi. Kończąc odmawiać Zdrowaś Mario, usłyszał krzyk Bodzia, który zakrywszy dłońmi oczy, ukląkł na strychu, zaczął płakać i zawodzić.

– Synu, widzę, jak cierpisz. W tej sytuacji ulgę może przynieść ci tylko Bóg. Jeżeli się wypowiadasz tu i teraz, na pewno poczujesz się lepiej – powiedział najspokojniej, jak tylko w tej chwili był w stanie.

Po dłuższej chwili ksiądz Wojda usłyszał łamiący się głos gospodarza.

– Proszę księdza... ja nie chciałem... – wyjąkał.

– Czego nie chciałeś, Bogdanie?

– Ja wiem, że tak nie można, ale nie miałem co jeść.

– O czym ty mówisz? – dopytywał duchowny.

Nie dane mu było usłyszeć odpowiedzi, gdyż Bodzio położył głowę na podłodze, nakrył uszy dłońmi i zaczął jęczeć. Widząc szansę wydostania się z potrzasku, Jan Henryk Wojda zaczął na powrót wycofywać się w stronę drabiny prowadzącej na dół. Jak tylko znalazła się w jego zasięgu, mocno ją chwycił i zszedł pośpiesznie na dół.

Przez chwilę słuchał jeszcze dźwięków dobiegających z góry. Poza jękami Bodzia miał wrażenie, że usłyszał szelest ciągniętej po podłodze plandeki i niski gardłowy głos wypowiadający jego imię – Jan. Zignorował to, biorąc za zwykłe omamy słuchowe i zrzucając to jako skutek ogromu przeżyć, jakich doznał, i fizycznemu wyczerpaniu. Czym prędzej skierował się do furtki i pędem ruszył w stronę plebanii.

\*\*\*

Następnego dnia w całym Zalesiu i kilku okolicznych wsiach aż huczało od plotek na temat wydarzeń ostatniej nocy, jakie rozegrały się w domu Kowalskiego. Jak to zwykle ma miejsce w małych społecznościach, każdy z mieszkańców przedstawiał te wydarzenia w nieco inny, ubarwiony sposób. Faktem jednak było to, że około północy pod dom Kowalskiego przyjechał policyjny radiowóz wezwany tam przez nowego proboszcza. Dwóch rosyłych funkcjonariuszy, nie chcąc konfliktu na linii z Kościołem, przyjęło niecodzienne zgłoszenie i niechętnie przystąpiło do czynności służbowych. Zaalarmowani dźwiękiem policyjnej syreny oraz światłami mieszkańcy ulicy Lipowej wyszli na chodnik, aby przekonać się, co się

wydarzyło. Policjanci wywlekli miotającego się na wszystkie strony, zakutego w kajdanki Bogdana i zamknęli go w radiowozie, po czym zawieźli na lokalny posterunek policji. Nad ranem na posesji Kowalskiego pojawiło się kilkanaście osób, w tym policjanci, prokurator oraz dwóch lekarzy, w tym jeden ze służb epidemiologicznych, którzy nadzorowali wyniesienie dwóch ciał w czarnych workach.

Ksiądz Wojda przyjął informacje o zatrzymaniu Kowalskiego z niekłamaną ulgą. Wydawało się, że policjanci należycie wykonali swoją pracę, a do tej małej miejscowości na powrót zawita spokój. Coś jednak nie dawało mu wciąż spokoju, dlatego postanowił wykorzystać wpływy Kościoła i udać się na posterunek policji, by złożyć dodatkowe zeznania i rozwiać swoje wątpliwości.

W trakcie długiej rozmowy z pełniącym wówczas służbę podstarzałym, siwowłosym komendantem Markiem Słoikiem zapytał:

– Czy ustalono, skąd wzięły się na strychu Kowalskiego zwłoki i do kogo należały?

– Proszę księdza – zaczął wyraźnie zdenerwowany policjant – to niecodzienna sytuacja, nawet jak na policję, dlatego też nie mogę udzielić księdzu informacji. Ludzie już teraz dyskutują, czy napaść na komisariat i wymierzyć po swojemu sprawiedliwość. Nie możemy jeszcze bardziej dolewać oliwy do ognia.

– Rozumiem, jednak biorąc pod uwagę nastroje społeczne, nie sądzi pan, że wsparcie ze strony Kościoła w uspokojeniu tych nastrojów byłoby korzystne nie tylko dla podejrzanego, ale także pokazałoby pracę policji we właściwy sposób? Proszę się zastanowić, gdybym znał całą sprawę, mógłbym przygotować kazanie na niedzielną mszę, w trakcie którego przedstawiłbym to zdarzenie w taki sposób, aby co bardziej krewcy mieszkańcy poniechaliby swych zapędów – powiedział spokojnym tonem ksiądz.

– Dobrze – powiedział wyraźnie zrezygnowany policjant – podejrzanym zeznał w czasie przesłuchania, że ciała należą do jego siostry Ewy i matki Marii. Obydwie zmarły rok temu.

– Czy on przyczynił się do ich śmierci? – zapytał duchowny.

– Najprawdopodobniej nie, choć na ciele młodszej z denatek znaleźliśmy liczne siniaki, zadrapania i ślady mogące świadczyć o tym, że Bodzio używał sobie na niej, nawet po śmierci.

– To niemożliwe, jak to?! – Ksiądz poczuł wzbierającą w nim falę mdłości, złapał głęboki oddech, by je opanować. – Czy nikt nie zauważył ich zniknięcia? Jak to możliwe, że przez tyle czasu nikt nie zainteresował się ich losem?

Komendant spojrzał mętnym wzrokiem na proboszcza.

– Podejrzany od dawna rozgłaszał we wsi, iż obydwie wyprowadziły się do dalszych krewnych na drugi koniec województwa. W tym czasie pobierał zarówno emeryturę matki, jak i rentę siostry.

– Czy wyjaśnił, dlaczego ich nie pochował?

– Powiedział, że bał się pozostania bez środków do życia. Dlatego chciał poczekać, aż znajdzie jakąś pracę, odłoży trochę pieniędzy i wówczas pochowa matkę i siostrę. A że ma nierówno pod sufitem, zaniósł i schował na strychu ciała, zamiast zakopać je choćby i przy domu – odpowiedział wyraźnie poirytowany policjant.

Na tym skończyła się ich rozmowa. Proboszcz pożegnał się z komendantem i wrócił samochodem na plebanię. Usiadł na kanapie w salonie, zakrył dłońmi twarz i zaczął się śmiać.

– No to trafiło mi się probostwo – powiedział sam do siebie.



# DWA MIEJSCA

Justyna Czapiga

Są rzeczy, o których nie śniło się nawet kelnerkom. Muszę przyznać, że lądowanie kosmitów jest jedną z tych, której nie spodziewam się w sobotni wieczór.

Agata liczy kasę i zajmuje się całą resztą papierkowej roboty, a ja próbuję wygonić ostatniego gościa, który wlał w siebie trochę za dużo orzechówki. To stały klient, dziadek, który myśli, że ma specjalne przywileje. Moja stała męczarnia. Zresztą niejedyna tego dnia.



Nie ma nic gorszego niż znajomi, których musisz obsługiwać.

Przychodzą w momencie, w którym już *prawie* udaje mi się nakłonić tego pomarszczeńca do opuszczenia lokalu. Widok takiej ilości osób sprawia, że znów przykleja się do krzesła. Pytam tej wesołej bandy, co tu właściwie robią. Okazuje się, że to *ja* jestem tą zapominalską, a oni przyszli, aby zadbać o *mój* interes. O to, żeby nie ominęło mnie nasze coroczne spotkanie. Urocze i bardzo niepotrzebne. I na pewno nie ma nic wspólnego z moim interesem. W moim interesie leży jak najszybciej posprzątać ten burdel i iść do domu.

Wszyscy, oczywiście, zamawiają po piwie. Zostawiam barowe czynności Agacie i wychodzę na zewnątrz, na restauracyjny ogródek, żeby chociaż ogarnąć ten burdel z wierzchu. Przysuwam krzesła do stolików i zdejmuję z blatów kryształowe popielniczki. Za płotem, po drugiej stronie ulicy, cicho szumi rzeka. Słońce zaszło już jakiś czas temu, ale mam wrażenie, że znad wody bije jakaś dziwna płynna luna. Zatrzymuję się nad jednym ze stolików i wbijam wzrok w niewielkie, pomarszczone fale.

Wtedy ich widzę. Najpierw odbicie w mętnej tafli. Potem unoszę wzrok.

To statek. Obracająca się wokół własnej osi metaliczna klepsydra na tle intensywnie granatowego nieba. Jest bliżej i bliżej z każdą sekundą. Emanuje rażącym, białym światłem. *Chemicznym*, przychodzi mi do głowy, ale nie mam czasu zastanawiać się, skąd takie skojarzenie. Nigdy wcześniej nie widziałam niczego podobnego. Nawet w filmach. Nieważne jak dobrze zrobione, nigdy nie będą w stanie oddać uczucia przytłaczającej rzeczywistości.

Odgłos, który wydaje ten pojazd, przypomina przeszywające wycie zwierzęcia. Czuję je z tyłu głowy jak skrzypiące paznokcie sunące wzdłuż wnętrza czaszki. Mechaniczny skowyt technologii, której raczej nie będzie dane nam zbadać, bo –

Pierwszy promień uderza w miasto za mostem, po drugiej stronie rzeki. Jest bielszy niż ludzka biel i *wypukły*. Przecina powietrze ze świstem i zmiata z powierzchni ziemi dwie ulice naraz. Tam, gdzie przed chwilą na wodzie pływały kaczki, jest teraz rozmokła ruina ziemistego gruzu. Samochody wyglądają jak wywrócone na drugą stronę, świecąc okablowaniem jak wnętrznościami. Nikt, kto stał na zewnątrz, nie zdążył nawet krzyknąć. Pozostałości ścian budynków spływają błotem i krwią.

Co robi się w takiej sytuacji?

*Pytam*. To ja pytam, bo nie mam pojęcia.

Stoję i gapię się na inwazję z rozdziawioną gębą i opróżnioną popielniczką w dłoni. Powietrze wibruje echem tego wypukłego, mechanicznego huk, ale jest wystarczająco cicho, żebym mogła usłyszeć drzwi otwierające się za moimi plecami. Ktoś wypowiada moje imię.

Właśnie wtedy powietrze ze świstem przecina drugi promień. Uderza w ziemię dużo bliżej nas, po naszej stronie rzeki.

Patrzę na białe światło, a białe światło patrzy na mnie. Mam wrażenie, że te paznokcie w tyle mojej głowy zmieniają się w długie, szklane szpikulce. Niektóre przebijają kość, a inne się tłuką. Te, którym udało się precyzyjnie przejść przez czaszkę, wbijają się w moje gałki oczne. Od wewnątrz, uparcie i do samego końca, a potem przekręcają.

Widzę taflę, która przypomina zegar. Słyszę rytmiczne tykanie. To wszystko trwa wieczność i dzieje się w ułamku sekundy jednocześnie.

Popchnięta siłą uderzenia, odfruwam w tył.

\*\*\*

Otwieram oczy. Nie ma żadnej tafli, żadnych nieczłowiecznie białych i wypukłych promieni. Jestem z powrotem w środku, w restauracji. Wszyscy jesteśmy – łącznie z pijanym upierdliwcem od orzechówki. Gość nie kontaktuje bardziej, niż myślałam. Upiera się, że wyjdzie na zewnątrz i zobaczy, co narobiło takiego huk.

Agata wciąż stoi za barem, wciąż kurczowo ściska na wpół pełny kufel piwa. Jest blada jak kartka papieru, z brązowymi piegami, które odznaczają się na tle cery jak kleksy. Jak zawsze ma serce na dłoni. Otwiera usta i wtedy nasze spojrzenia się spotykają. Nie wiem, co widzi w moich oczach, ale dostrzega to też w oczach całej reszty, bo milknie.

Nikt z nas nic nie mówi. Po prostu patrzymy, jak dziadek wychodzi.

Bez słowa, jak jeden organizm, przesuujemy się o krok w tył, gdy otwiera i zamyka za sobą drzwi. Przez okno widać niewiele, bo w powietrzu fruwa masa gęstego pyłu, ale widać wystarczająco. Ja patrzę ze swojego miejsca na podłodze, wsparta o ścianę. Cała reszta podbiega do okien. Żadnemu z nas nie umyka ani sekunda tego, co się z nim dzieje.

Dziadek chwytając się za koszulę na piersi, jakby dostał właśnie ataku serca. Prostuje się i *wydłuża*, a wszystkie jego kończyny drżą jak porządnie stężona galareta, którą ktoś przypadkowo potrącił. A potem mężczyzna kurczy się i skręca się jak urodzinowa trąbka, w którą ktoś przestał dmuchać. Całe jego ciało wysusza się i spłaszcza. Zwija się w rulon. Jeszcze przed chwilą pełne organów i kości, jest teraz grubości kartonu, a to, co nie zbiera się wokół w postaci klejącej, mięsistej kałuży, wyparowuje jak woda.

Cóż. Teraz już wiemy, że wyjście na zewnątrz odpada.

Zbieram się z miejsca pod ścianą. W głowie huczy mi jak na porządnym kacu. Tuż przy moich nogach leży kryształowa popielniczka. Pewnie ta sama, którą opróżniałam, gdy

obcy postanowili urządzić apokalipsę. Wygląda, jakby ktoś stopił ją i zgiął. Może zwinęła się tak samo jak nieszczęsny gość od orzechówki. Mogę jedynie odczuwać wdzięczność za to, że to samo nie stało się ze mną.

Podnoszę ją i przyglądam się bez słowa, wciąż skołowana i nie do końca obecna, jakbym spodziewała się ujrzeć wewnątrz niej wskazówkę. *Coś* tam dostrzegam. Kryształ wygląda tak, jakby gdzieś w jego wnętrzu przecinały się różnokolorowe neony. Dopiero po chwili orientuję się, że źródło tych kolorowych światełek nie pochodzi ze środka popielniczki. To tylko ich odbicie.

Podnoszę wzrok. Widzę je, tak wyraźnie, że zastanawiam się, jakim cudem nie dostrzegłam ich wcześniej. Lewitujące nad głowami każdego z moich przyjaciół – zielone, żółte albo czerwone kreski. Emanują delikatną, neonową aurą. To cyfry. Im dłużej na nie patrzę, tym wyraźniejsze są, zupełnie jakby moje oczy przyzwyczajały się do nich jak do ciemności.

Mało brakuje, żebym coś powiedziała, ale trybiki w mojej głowie powoli wracają do właściwego ułożenia. Zauważam, że nikt nawet nie spogląda w ich stronę. Nikt inny nic nie widzi. Wszyscy natomiast wymieniają spojrzenia – powolne i trudne do odczytania. Cała nasza ósemka jest zamknięta w tym dwupiętrowym, ciasnym lokalu. Zastanawiam się, kto oprócz mnie przed chwilą ugryzł się w język.

Milczę. Tak będzie bezpieczniej.

Cyfry nad Agatą są żółte, a ona blada (3, 8, 13). Zastanawiam się, co mogą oznaczać. Agata, nieświadoma tej wróżby, przysiadła na jednym z barowych krzeseł. Drżą jej dłonie. Dobrze wiem, że chciała ostrzec dziadka od orzechówki przed wychodzeniem na zewnątrz. Dobrze wiem też, że nie chciała zrobić tego cała reszta. Łącznie ze mną. Wszyscy o tym wiemy. Ta świadomość jest ciężka i chłodna. Wisi między nami w powietrzu jak ponure pytanie.

*(Czy powstrzymalibyście mnie?)*

Obok Agaty siedzi Kamyk. Cyfry, które wiszą nad jego głową, są zielone (14, 7, 2). Z typową dla siebie dobroduszną niezręcznością częstuje ją papierosem. Też wygląda, jakby miał wyrzuty – bardziej z powodu tego, że Agacie jest przykro, niż tego, co stało się z dziadkiem. Agata nie zastanawia się dwa razy, chociaż od tygodnia powtarzała mi, że rzuca i że idzie jej świetnie. W takich okolicznościach trudno mi ją winić.

Kamyk z kieszeni skórzanej kurtki wyciąga zdezelowane Zippo. Odpala papierosa, najpierw jej, potem sobie. Zaciągają się, a cyfry nad ich głowami drżą. Ukradkiem obserwuję, jak żółte *trzy*naście nad głową Agaty rozmywa się i zmienia w kolejne *osiem* (3, 8, 8). Zielone

*siedem* i *dwa* unoszące się nad Kamykiem i jego rozwichrzoną czupryną – w *sześć* i *pięćdziesiąt siedem* (14, 6, 57).

Może to dlatego, że wszelkie inne zmartwienia poszły w niepamięć, mój umysł pracuje w przyspieszonym tempie. Szybko łączę ze sobą liczby, fakty i wiedzę zdobytą na apelach w podstawówce.

Zawsze przecież powtarzali nam za dzieciaka, że jeden papieros zabiera pięć minut życia.

– Też mogę? – pytam, wyciągając drżącą dłoń w stronę paczki czerwonych Marlboro.

Wiem, co się dzieje. Rozumiem szklane wskazówki i taflę zegara. Moi przyjaciele, którym nie ufam, są ze mną zamknięci w dwupiętrowym, ciasnym lokalu, a ja widzę, ile zostało im czasu.

\*\*\*

Wygrywam w kamień, papier, nożyce z Adamem – biednym Adamem, który z wielkiego miasta zjechał do tej dziury specjalnie po to, żeby się z nami spotkać – i noc spędzam na jednej z ciasnych restauracyjnych kanap. Na mój sen składa się seria płytkich drzemek, z których wybudzają mnie na zmianę lodowate dreszcze i skurcze w nogach.

Całkowicie wybudzam się o szóstej, gdy reszta jeszcze śpi. Najpierw przyglądam się neonowym kreskom nad ich głowami. Żadnych drastycznych zmian – czas skrócił się o niecałe sześć godzin. Tyle, ile minęło, odkąd ostatni raz patrzyłam.

Wtedy zbieram się na odwagę i wspinam po schodach na piętro. W restauracyjnym saloniku wszystkie okna są pozamykane. Zastanawiam się, ile z nas obudziłoby się w postaci zwiniętych, wyssanych z wnętrzości kartonów, gdyby chociaż jedno było wcześniej uchylone. Upewniam się, że nikt za mną nie idzie, a potem popycham ciężkie, skrzypiące drzwi i zaglądam do łazienki.

Na ścianie wisi duże lustro w drewnianej ramie. Serce bije mi tak szybko, że przez chwilę nie mogę złapać oddechu. Wyobrażam sobie czerwone cyfry wiszące nade mną jak gilotyna nad głową straceńca, odliczające moją ostatnią minutę.

Nie wiem, czy czuję więcej ulgi, czy rozczarowania, gdy widzę tam jedynie pustkę.

Mija kolejna godzina, zanim pozostała siódemka wybudza się ze snu. Adam (8, 3, 22) narzeka na to, że od spania na podłodze coś wlaźło mu między kręgi. Patrzy na mnie spod byka, zupełnie jakby to była moja wina, że papier pokonuje kamień. Jego zwykle gładko zaczesane włosy sterczą na bok, a on marudzi, zupełnie jakby niedogodności związane

z inwazją obcej cywilizacji dotyczyły wyłącznie jego. W międzyczasie rozciska się za barem – odkręca kran i nalewa sobie pełną szklanekę wody. Nikt z nas nic nie mówi, ale nie towarzyszy temu atmosfera milczącej zмовы. Wszyscy są niewyspani i rozkojarzeni, łącznie ze mną.

Patrzę, jak z każdym łykiem, który bierze Adam, cyferki nad jego głową drżą coraz bardziej spazmatycznie. Bledną do żółci, a potem żarzą się czerwienią, aby powoli odliczyć od dziesięciu do zera. Znikają, gdy szklanka wyslizguje się spomiędzy jego palców. Uderza o bar, turla się wzdłuż i całkiem roztrzaskuje się na podłodze. Adam to martwa, krzywa wieża, z wyrazem zaskoczenia na twarzy i otwierającą się, syczącą dziurą w gardle. Najpierw przewala się na półkę ze szkłem, a potem bezwładnie zwała na ziemię.

Wszyscy stoimy po drugiej stronie baru, więc wygląda to trochę tak, jakby potknął się o nieistniejący schodek i zniknął nam z pola widzenia. Kiedy jednak Natan i Krzysiek zaglądną za bar, nie ma żadnej klapy w podłodze. Są tylko blade zwłoki z wypaloną dziurą, która ciągnie się wzdłuż przełyku aż po sam żołądek. Cokolwiek wypływa spomiędzy otwartych powłok skóry i mięśni, topi też markowe, pogięte od spania na podłodze ubrania. Wszystko zasycha i sklepia się o wiele szybciej, niż powinno.

Nie, żebym była jakąś specjalistką od zwłok. To dopiero drugie, które widzę w mojej karierze. Jednak nie wydaje mi się, że ludzkie wnętrzości mają tendencję do obrastania czymś w rodzaju białego, oszronionego mchu w ciągu minuty od odsłonięcia.

Robi mi się słabo. Iga, nasza grupowa pani przedszkolanka, wydaje z siebie zduszony, obrzydzony okrzyk i w pośpiechu ucieka na piętro. Natan i Krzysiek czekają, aż Adam przestanie wydawać odgłosy, które brzmią tak, jakby zaraz miał eksplodować. Potem jeden chwytą go za nogi, a drugi za ręce. Wynoszą go na drugie piętro, do kuchni, gdzie jeszcze nikt nie zaglądał.

Marek, grupowy influencer, nagrywa wszystko telefonem. Przypominam sobie to, o czym mi kiedyś powiedział – z odpłatnego testu psychologicznego dowiedział się, że jego poziom empatii jest bardzo niski. Teraz zaczynam rozumieć dlaczego.

Gdy Natan i Krzysiek wracają, pytam, czy otrzymali jakiś znak życia od kucharek. Patrzą po sobie i jednocześnie kręcą głowami.

– Nie chcesz wiedzieć – mówi Natan. – *Dobra* wiadomość jest taka, że lodówki są pełne.

Kamyk częstuje papierosami wszystkich bez wyjątku. Wszyscy, bez wyjątku, chcą zapalić. Z każdym kliknięciem zdezelowanego Zippo kolejne pięć minut życia ucieka jak za

zdmuchnięciem małej świeczki. Picie wody z kranu dołącza do listy rzeczy, których absolutnie nie wolno nam robić.

\*\*\*

Cały następny dzień spędzam z Agatą i Markiem. Marek widocznie wierzy, że wyjdziemy stąd do działającego internetu. Ja na przykład wątpię, że w ogóle wyjdziemy. Jego zabawa w tworzenie postapokaliptycznego reportażu kończy się wraz z baterią w telefonie. Nikt nie ma przy sobie ładowarki. Zresztą po incydencie z kranem nikt nie ma też ochoty na eksperymentowanie. Światła przy barze, które paliły się przy uderzeniu, palą się dalej. Tych, które były zgaszone, nie ruszamy. Kto wie, jaka kosmiczna plaga może wyskoczyć na nas z gniazdka.

Marek przysiadł się do nas i czytamy sobie na głos harlequiny, które Natan i Krzysiek znaleźli skitrane w kuchennych szafkach przez kucharki. W końcu też podzielili się z nami ich losem – obie zwinęły się w te suche, cieliste rulony, dokładnie tak samo jak dziadek od orzechówki. Gdy promień uderzył, stały w pseudopalarni na tyłach budynku. Ich zwłoki widać przez małe zabrudzone okienko w spiżarni.

Cóż. Przynajmniej zostały parę książek.

Czytamy je z podziałem na role. Szybko wysychają nam gardła, więc pijemy wodę z plastikowych butelek. Kamyk pali papierosa za papierosem i patrzy na naszą trójkę zza baru. Te fajki, które miał w paczce, skończyły się już dawno temu. Teraz skręca własne, z tytoniu, który znalazł w kurtce dziadka od orzechówki. W jednej z szuflad jakimś cudem leżało sobie całe opakowanie bletek. Tak po prostu, jakby spadło z nieba. To się nazywa szczęście w nieszczęściu.

Krzysiek i Natan i grają we własną wersję alkochińczyka. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, na czym polega. Iga, która od śmierci Adama nie odezwała się ani słowem, próbuje złapać zasięg, ale nic z tego. Jesteśmy zupełnie odcięci – jeśli zostało jeszcze cokolwiek, od czego możemy być odcięci. Cyferki nad głowami moich znajomych to jedyne, co wygląda jak stałe, aktualizowane połączenie ze źródłem.

Pytanie tylko, co jest tym cholernym źródłem.

Gdy nudzi nam się czytanie harlequinów, a woda w butelkach kończy się szybciej, niż powinna z rozsądnego punktu widzenia, Agata wspina się na stół. Cyferki, które wiszą nad jej głową, są krwście czerwone (1, 47, 5). Ma najmniej czasu, a zdaje się najbardziej żywa z nas

wszystkich. Jej oczy nie zasły jeszcze tą mętną, zubożoną mgłą. Może dlatego ciężko traktować mi jej cyfry poważnie.

To błąd.

Zagłada w pajęczynę w jednym z kątów. Nie po to, żeby ją posprzątać – pajęczyny są dla Agaty świętością. Nie rusza ich i nigdy nie ruszała. Nawet wtedy, gdy nitka wisiała nad barem, a ona musiała przez całą zmianę tańczyć limbo, żeby jej nie dotknąć. Dlaczego? Cóż, Agata tęskni za swoimi piętnastoma pajakami. Pół żartem, pół serio zastanawia się głośno, czy kosmici o nie dbają i czy wiedzą, ile temperatury potrzebują terraria.

Myślę sobie, że krwawa czerwień cyferek ładnie kontrastuje z kasztanowym odcieniem jej włosów, gdy ona palcem tyka zaplątanego w sieci pajęczka.

– Cześć, maluszku! – woła.

Z małego pajęczka wyrasta coś na kształt groteskowego, zakrzywionego żądła. Jest wielkie, błękitne i pulsujące, jak obrośnięta twardą skorupą larwa, która szykuje się do wyklucia. Nierównym zygziem zatacza łuk, sięgając za jej plecy. Przez ułamek sekundy wygląda to tak, jakby pajak miał zamiar ją zagarnąć w niezręczny ucisk. A jednak końcówka żądła się wyostria. W tej pseudoskorupie otwierają się pory wielkości pięciocentów. Wypływa z nich przezroczysty śluz, obtaczając grubą warstwą ten ostry, pulsujący pręt.

Potem żądło z impetem wbija się w sam środek jej pleców.

Odgłos, który temu towarzyszy, przypomina szybkie, ostre przedrylowanie warstwy lodu. Jestem zbyt zajęta patrzeniem na jej przesiąkający czerwienią sweter, żeby zwracać uwagę na cyfry. Gdy w końcu spoglądam wyżej, ich już nie ma. Zniknęły.

A jednak mogę przysiąc, że w oczach Agaty wciąż tli się życie. Jej usta wciąż drżą, szeroko otwarte i pobladłe, a ręka bezwładnie opada wzdłuż tułowia. Ciało, wraz z wielkim żądłem, ciężko opada na podłogę, praktycznie tuż pod moje stopy. Wypukłe żyły wyraźnie odcinają się spod bladej skóry. Pajęczyna odkleja się od kąta z nieprzyjemnym, mokrym odgłosem, od którego włosy stają mi dęba na karku. W ciągu kilku sekund te parę cienkich, srebrnych nitek rozrasta się do rozmiarów namiotu. Przybierają kształt kokonu.

Nie. Nie tylko przybierają – stają się kokonem.

Nieruchome ciało zostaje przeturlane do jednego z kątów restauracji. To żądło, które teraz wygląda jak wielka pajęcza odnoga, sunie po podłodze, aby je tam przemieścić. Dopiero gdy zwłoki podpierają się o ścianę, wilgotny kokon obrasta także i odnogę.

W końcu zapada prawie idealna cisza. Słysząc jedynie ciche mlaskanie tej morderczej warstwy pajęczej nici, gdy dostosowuje się do kształtu ciała. Przylega do niego raz a dobrze.

– Ja pierdolę – mówi cicho Marek.

W dłoni ściska wygasły telefon, zupełnie jakby to nagrywał. Chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że to robi. Iga kuli się w kącie i łka. W dłoniach ściska kępki włosów, które wyrwała z własnej głowy. Gdy w końcu odrywam od niej wzrok, na rękawie bluzy dostrzegam cienką nitkę pajęczyny. Jeszcze przez chwilę srebrzy się na tle ciemnego materiału, a potem kurczy się, szarzeje i rozpada jak popiół.

\*\*\*

Tej nocy Iga wychodzi na zewnątrz.

Dowiaduję się dopiero rano, bo przez jej łkanie i wycie nie mogłam zmrużyć oka i przeniosłam się do kuchni. Podobno Natan i Krzysiek pobiegli za nią (bohaterowie), ale nie udało im się jej zatrzymać. Nie byli wystarczająco szybcy. Natanowi udało się sięgnąć przez szparę w drzwiach, którą za sobą zostawiła, ale zanim jego palce zacisnęły się wokół tyłu jej koszuli, nie było już za co łapać.

– Przez chwilę myślałem, że już po mnie – mówi, ostrożnie podwijając rękaw bluzy. – To jedyne, co się stało. Nie czuję się gorzej ani inaczej. No, tylko trochę swędzi.

Spoglądam na jego odsłonięte ramię. Skórę pokrywają wysuszone, szarawe pęcherze. Jakby obtoczył rękę w nierównej, grudowatej warstwie kleju, a potem włożył ją w popiół, aż po sam łokieć. Ukradkiem zerkam na cyferki wiszące nad jego głową. Nie wydają się zaburzone o więcej niż kilka skręconych przez Kamyka papierosów, które musiał spalić od rana. Może rzeczywiście to nic takiego.

\*\*\*

Została nas piątka. Marek (11, 2, 40), Natan (246, 4, 18), Kamyk (10, 5, 53) Krzysiek (–, 1, 23) i ja (???). Ciężko mi z siebie wykrzesać chęci do życia. Do tej pory budził mnie instynkt. Zatrzymał mnie przed powiedzeniem im o cyfrach, które odliczają ich ostatnie dni. O powerbanku, który był w torebce jednej z kucharek. O przybłąkanym burym kocie z kuchni, którego znalazłam schowanego między workami ziemniaków, gdy poszłam tam spać. Wszystko mi jedno. Nawet obecność kota o wielkich, szklistych oczach nie pociąga za żadne struny w moich trzewiach.

Nic już nie gra.

Przez resztę dnia to ja gram. Z Kamykiem, w kółko i krzyżyk, i piję białe wino z kartonu wymieszane z wodą gazowaną. Nie jadłam dużo, więc dość szybko zaczyna



szumieć mi w głowie. Gdy robi się ciemno, przenoszę się na piętro, gdzie nie pali się światło. Kitram się pomiędzy sofą i parapetem. Zasłania mnie doniczka z wyschniętą paprotką – kolejną ofiarą tej inwazji. Nie wiem, czy to, co widzę za oknem, to pył, czy gwiazdy. Wisi w powietrzu, jednocześnie blisko i daleko, a ulice to ponure, przykryte gruzem i wyschniętą krwią ruiny. Nasza knajpa musi być jedynym budynkiem, który jeszcze stoi.

*(Dlaczego?)*

Na schodach słyszę kroki. Ciężkie i skrzypiące, więc przez chwilę myślę, że to Kamyk i jego glany, ale potem do moich uszu dobiegają głosy i wtedy zdaję sobie sprawę, że na piętro wspięły się dwie osoby.

To Natan i Krzysiek – są jak dysfunkcyjny dwupak.

– Marka i Kamyka mam gdzieś – mówi Krzysiek jak zwykle z bolesną szczerością. – Ale Małej powinniśmy powiedzieć. Mała to dziewczyna.

Mówią o mnie.

*(Czemu mówią o mnie?)*

– A co jeśli Mała powie reszcie? – odpowiada Natan. Ciszej. Sceptycznie i rozsądnie. – Mówiłem ci, że to zadziała tylko wtedy, gdy...

– Tak, wiem, stary. – Krzysiek podnosi głos. Huragan, nie człowiek. – Ale Mała to dziewczyna.

– Patrzysz na to tak... biologicznie? – odpowiada Natan, wciąż raczej spokojnym tonem.

Wyglądam zza doniczki. Bardzo, bardzo ostrożnie. Niewiele widzę w ciemnościach, ale nie potrzebuję widzieć twarzy Krzyśka, żeby rozpoznać oburzenie w jego głośnym szepcie.

– Pojechało cię, stary? Nie o to mi chodzi! Nie będę mógł zasnąć w nocy, jeśli jej nie powiemy. To niezgodne z moimi zasadami. Powinniśmy o nią dbać. To tyle.

Przyglądam się ich ciemnym, nieruchomym kształtom. Natan milczy.

– Niech ci będzie – wzdycha w końcu. – Dobra, polej. Tylko cicho, żeby nas nie ogarnęli.

Krzysiek kładzie na blacie stolika dwa kieliszki. Musiał wziąć je ze sobą z dołu. Z szafki, w której zwykle leżą czyste obrusy, wyciąga pełną butelkę Jacka Danielsa. Ćwoki, musieli ją tam skitrać – teraz w barku, poza kartonami białego wina, zostały nam już tylko likiery i metaxa.

Otwiera butelkę, polewa, zakręca ją i chowa z powrotem do szafki. Dopiero wtedy wyostrzam wzrok i zauważam coś, co – po raz pierwszy odkąd Agatę owinął kokon – chwytam mnie za wnętrzności.

Cyferki nad głową Krzyśka odliczają jego ostatnie osiem czerwonych sekund.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden odgłos. Właśnie wtedy napromieniowane ramię Natana opatula Krzyśka od tyłu. Jak brzydki zimowy szalik zaciska się wokół jego szyi, a zdrową dłonią Natan zatyka mu usta i nos.

To bardzo długie osiem sekund – przytłumione i charczące, do momentu, w którym wściekłe próby nabrania powietrza zostają przerwane przez mokre strzyknięcie kręgów. Czerwień znika. Jednym źródłem wątpliwego światła są teraz cyfry nad głową Natana.

– Pieprzony rycerz na białym koniu – wzdycha.

Podnosi martwego Krzyśka jak omdlałą pannę młodą i bezszelestnie wnosi go do łazienki. Słyszę odkręcający się kran i ciche, znajome syczenie palonego ciała. A potem Natan wraca i przez chwilę spogląda w górę, w stronę kuchni. Nasłuchuje. *Moich* odgłosów. Zadowolony z ciszy, sięga po dwa polane szoty Jacka Danielsa. Wypija je, jeden po drugim, i cichutko wraca na dół.

\*\*\*

Poranne poszukiwania Krzyśka trwają jakieś trzy minuty. Kamyk i Marek szukają naprawdę, a ja i Natan udajemy. Marek sprawdza łazienkę pierwszy. Ja stoję tuż za nim. To, co woda z kranu zrobiła Adamowi, to nic w porównaniu z tym, jak obeszła się z Krzyśkiem. Popalone, zlepione kłębki włosów wyrastają ze stopionej kości czaszki jak niemrawe sadzonki. Rozpuszczona skóra klei się do kafelkowanej posadzki jak cienka warstwa przeterminowanej farby. W tej wykręconej kałuży ciała i włosów leży kilka smutnych, ale nietkniętych zębów.

Natan włożył jego głowę pod wodę. Całą głowę.

Trzeba przyznać, że niesamowity z niego aktor. Bardzo wiarygodnie opłakuje śmierć swojego najlepszego przyjaciela. Wyklina jego słabego, samobójczego ducha. Uderza pięścią o ścianę, raz po raz, aż skóra na knykciach pęka, a na skruszonym tynku zostają czerwone, rozprysnięte smugi.

– No już – mówię cicho, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Nie patrzę na jego zdrową, poranioną rękę. Przyglądam się drugiej, której nie używał. Końcówki palców są odrobinę bardziej poszarzałe i przypalone niż wcześniej.

– Kochana jesteś – mówi Natan.

Ociera nieistniejące łyzy, a ja udaję, że się uśmiecham.

\*\*\*

Następnej nocy zawala się cała kuchnia. Adam i Krzysiek doczekują się pogrzebu. Marek ma pecha. Nie mam pojęcia, co robił w kuchni w środku nocy. Odkąd podwoiła się ilość zwłok wciśniętych do schowka na miotły, a ich słodko-gnijący zapach stał się trudny do zignorowania, nawet ja przestałam tam spać.

*(Chociaż muszę przyznać, że to widok burego kotka-przybłądy z ochłapem ludzkiej skóry w małym pyszczku był gwoździem do trumny. Cóż, jeśli kotek chował się pomiędzy workami ziemniaków tak jak wcześniej, już więcej sobie nie poje.)*

Nawet jeśli Marka nic nie przygniotło, to wielkie odłamy budynku skutecznie zablokowały drogę na piętro. W ten sposób wciąż pozostajemy bezpieczni od toksycznego powietrza. Gdy podejdziesz się bliżej i przyłoży ucho do zimnego kamienia, słyhać ten fałszywie niewinny, morderczy świst.

Z nudów zmiotam podłogę na piętrze. Wśród odłamków gruzu znajduję rozładowany telefon. Ekran jest pęknięty, a szczeliny wypełnia zaschnięta krew. Telefon Marka. To przypomina mi o powerbanku, którego znalazłam. Być może to żałosne próby trzymania się przy życiu, ale mam wrażenie, że ten jeden sekret, o którym nikt nie wie, dodaje mi sił.

Gdy Natan i Kamyk zasypiają, ja przeżuвам ziarnka kawy i z sercem tłukącym w piersi podłączam do niego swój telefon. Przez dłuższą chwilę nic się nie dzieje. Ekran jest ciemny i pusty, a ja przekonana, że ten uśmiech od losu jest fałszywy i całkiem rozładowany.

A potem zaskakuje. Telefon zaczyna się ładować. Chwytam się za usta, aby stłumić okrzyk radości. Przyglądam się jednej kresce migającej na ekranie i przygryzam wnętrze policzka tak mocno, że zaczyna krwawić.

\*\*\*

O świcie budzą mnie odgłosy dobiegające z dołu. Z tłukącym bólem głowy – wina tej cholernej kawy – ostrożnie schodzę po schodach. Drzę z zimna, a trudne do określenia świszczące dźwięki nabierają sensu. To czyjś oddech. Ciężki i zachłanny jak oddech tonącego.

Na palcach zmierzam w stronę baru. Serce podjeżdża mi do gardła. Przez chwilę mam głupią nadzieję, że może to kokon, że może ze środka zaraz wykluje się Agata, cała i zdrowa, ale nic takiego się nie dzieje. Kokon leży w kącie, wielki i wypukle biały.

Za barem siedzi Kamyk. Nad jego głową, jak zaczajona szubienica, dyndają migające, czerwone cyfry (–, 4, 31). Jego dolna warga jest rozciągnięta i roztopiona, a grudowata krew wokół ust rozmazała się jak szminka. W dłoni trzyma tłący się niedopałek. Jego oczy, duże i zaskoczone, podążają za mną w niemalże przepaszający sposób. Unosi dłoń i charczy, zupełnie jakby próbował coś powiedzieć, ale szybko rezygnuje. Żar z niedopałka węgla mu opuszek palca. Gdy nachylam się, aby mu go zabrać, kręci głową.

Wtedy spoglądam na bletki. Te, które nie wiadomo skąd znalazły się w szufladzie, w restauracji, w której żaden kelner nie skręca swoich własnych fajek. Do tej pory zabierały wszystkim tylko po pięć przepisowych minut. Teraz wyglądają na pokarbowane. To delikatna zmiana. Charakterystyczna dla papieru, który był mokry, a potem wysechł. Jakby ktoś go zmoczył, może w toksycznej wodzie, i zostawił do wyschnięcia. Jak pułapkę.

– Skurczybyk – mówię.

Tym razem Kamyk powoli kiwa głową.

Bardzo ostrożnie chwytam szklankę w szczytce do lodu, a potem, tak delikatnie, jak mogę, odkręcam kran. Ze szkłem nic się nie dzieje. Napęlniam je wodą, chwytam suche szkło w dłonie, a potem przykucam przy Kamyku. Jego oczy są wielkie i pytające. Wolną dłonią klepię go po nienaruszonej części policzka.

– No już – mówię. – Nie chcesz tu umierać cztery godziny.

Chyba się ze mną zgadza, bo szerzej otwiera usta.

Wystarczy pół szklanki, żeby wartość czerwonych cyfr poszybowała w dół i całkowicie zniknęła. Oczy Kamyka wypełniają się mgłą. Jego zuchwa i gardło stapiają się z przodem czarnej, skórzanej kurtki. Z groteskowo opadniętej szczęki wysuwają się pojedyncze zęby. Zjeżdżają po mokrej, syczącej mieszance ciała i materiału i lądują tuż pod moimi stopami jak białe, ślubne confetti.

Jak na zawołanie za moimi plecami odzywa się Natan.

– Widzisz, ile czasu zostało nam do końca, prawda? – mówi. – Kiedy kto umrze?

Powoli odwracam się w jego stronę. Stoi za barem, wysoki i uśmiechnięty, a w objęciu zmutowanego ramienia trzyma burego kota. Milczę.

– Powiedziałas Kamykowi, że będzie umierał cztery godziny, jeśli nie wypije wody – kontynuuje, robiąc krok w stronę baru. – Co to takiego? Jakies zegary? Za każdym razem,

gdy widziałem cię rano, patrzyłaś najpierw na moją twarz, a potem... trochę wyżej. Tak samo robiłaś z innymi. A więc? No, mów. Ile mi zostało?

*(Za dużo.)*

Bury kot-przybłęda patrzy na mnie wielkimi, lśnącymi oczami. Blask w oczach Natana nie przypomina niczego, co ludzkie.

– Nie wiem, o czym mówisz – odpowiadam.

– Przestań, Mała. Myślisz, że urodziłem się wczoraj? – Natan uśmiecha się i zdrową dłonią klepie kota po główce. – Od samego początku wiedziałem, że coś z tobą nie tak. Przyglądałem ci się, bo wiedziałem, że ciebie też jakoś musieli naznaczyć.

– Naznaczyć?

– Promieniem, głuptasie – tłumaczy. – Nie byłaś sama na dworze, gdy rąbnęli w ulicę po naszej stronie mostu. Nie tylko w ciebie uderzyło białe światło. Stałem tuż za tobą.

Przypominam sobie odgłos otwieranych za moimi plecami drzwi. Kogoś, kto wypowiedział na głos moje imię, zanim oślepił mnie promień.

– Ty też coś widzisz? – pytam w końcu, cicho i ostrożnie.

– Lepiej. – Natan szczerzy zęby w uśmiechu. – Słyszę.

\*\*\*

Natan tłumaczy mi wszystko nad szklanką białego wina i paczką paluszków, które zabrał z kuchni razem z kotem. Opowiada mi, że przedstawiciele tego obcego gatunku mają swój własny język, który on potrafi zrozumieć. Słyszy ich. I to nie jest ukradkowe podsłuchiwanie za pomocą jakiejś niecnej telepatii. Oni wiedzą, że ich rozumie.

Mówią *do niego*.

Komunikują się z nim i tłumaczą, że nasza biedna, mała planeta zaburzała porządek galaktyczny. Podobno wymknęliśmy się spod kontroli Wszechwielkiego Światła. Nie potrafiały wyjaśnić, czym jest to pieprzone Światło, ale Natan podejrzewa, że sami nie do końca to rozumieją. Mówią tylko, że zostali przez nie wysłani, aby nas unicestwić. Jesteśmy szesnastotysięcznym światem, który wymazują z kosmicznej egzystencji.

*(Może jeśli aż szesnaście tysięcy światów wymyka się spod kontroli Wszechwielkiego Światła, Światło nie robi najlepszej roboty w byciu Wszechwielkim.)*

W ramach wynagrodzenia tej absolutnej anihilacji dwoje z nas ma zostać wybrane i łaskawie ocalone. W tej swojej wirującej klepsydrze zniszczenia mają miejsce dla dwójki

osób, które zapakują na statek, zanim Ziemia całkowicie i nieodwracalnie eksploduje. Może nawet dadzą nam szansę na zaczęcie od nowa. Na innej planecie i na innych zasadach.

Dopijam wino duszkiem. Mam wrażenie, że słyszę ciche parsknięcie, ale gdy patrzę na Natana, jego mina jest całkowicie poważna. Siedzący obok nas kot mruczy.

\*\*\*

Nie śpię. W ogóle nie śpię. Kot czuwa ze mną.

*(Szansa na zaczęcie od nowa? Śmiechu warte.)*

Natan chrapie, a ja, ukryta za doniczką, włączam naładowany telefon. Cichutko wibruje w mojej dłoni. Ostrożnie, najciszej, jak tylko potrafię, włączam aparat. Wychyliłam się, aby uchwycić śpiącą sylwetkę Natana, robię zdjęcie i wracam do swojej kryjówki.

Cyfry nad jego śpiącą twarzą widoczne są też na ekranie. Na to liczyłam.

Zegar śmierci przenosi się na zdjęcia.

Z sercem tłukącym w piersi jak gorący młot wchodzę w galerię. W końcu znajduję to, czego szukałam. Zdjęcie Agaty, które zrobiłam parę tygodni temu. Stoi za barem, a w dłoni trzyma serwetkę, na której siedzi wielki, oślizgły żuk. Nie pozwoliła go nikomu tknąć. Uparła się wtedy, że go złapie i wyniesie na zewnątrz, w bezpieczne miejsce. Jak zwykle, przejęta życiem każdej żywej istoty, niezależnie od jej rozmiaru.

Patrzę na to zdjęcie, zupełnie nie mrugając. Patrzę tak długo, aż oczy zachodzą mi łzami.

\*\*\*

Rano dowiaduję się od Natana, że szanowni obcy jeszcze dziś po nas przylecą. Mają na swoim futurystycznym statku dwa świeżutkie miejsca, gotowe do zajęcia przez nas, marne niedobitki.

– Co zrobimy z kotem? – pytam głośno, podgryzając ziarenka kawy.

Natan zerka na mnie, jakbym powiedziała coś bardzo głupiego. Bura przybłęda siedzi na jego kolanach, przy stoliku tuż przed barem, i podjada resztki paluszków.

– Właś w Kamyka szklanekę żrącej wody, żeby zostać tutaj ze mną, a przejmujesz się kotem? – Natan wywraca oczami. – Mogę ich zapytać, jeśli chcesz. Może będą go chcieli do jakichś eksperymentów. Wiesz? Jak w tych wszystkich filmach...

– Nie wiem – przyznaję. – Nigdy nie oglądałam żadnego filmu o kosmitach. Nie mam bladego pojęcia, jak to wszystko wygląda. Działam kompletnie po omacku.

Nie patrzę na jego twarz. Obserwuję zielone cyfry nad jego głową. Wirują jak szalone, obniżając się o dziesiątki, o *setki* dni. Żółcieją i czerwienieją – jak gnijące liście na przyjście jesieni. Gdy wartość spada do dwudziestu sekund, zaczynam się śmiać. Na odliczanie ostatnich dziesięciu kokon w kącie pokoju się porusza. Natan zerka w jego stronę.

– No chyba sobie, kurwa, żartujesz – mamrocze.

Z kokonu wystrzela ogromne, błękitne żądło. Przefruwa nad stołem i zręcznie omijając kota, przebija Natana na wylot.

Jego usta otwierają się komicznie szeroko, jakby próbował zaczerpnąć powietrza. Ze środka bucha dławiący wulkan krwi. Łąduje na jego wyciągniętych do przodu, zamarłych dłoniach. Obie, zdrowa i zmutowana, próbują chwycić pajęczą odnogę i odciągnąć ją od otwartej, ziejącej rany na piersi, ale sekundy mijają nieubłaganie, a żądło ani myśli ustąpić. W końcu Natan nieruchomieje i opada na oparcie krzesła, a zegar znika. Dopiero wtedy odnoga się cofa. Z cichym, śliskim odgłosem wysuwa się spomiędzy skruszonych żeber i wraca do białego kokonu.

Chwilę później na zewnątrz wygrzebuje się Agata. Nad jej głową widzę to, co poprzedniej nocy zobaczyłam na ekranie telefonu – migające niebieskie symbole, których nie rozumiem. A jednak coś muszą oznaczać, bo pomimo wyrastających z jej pleców długich, łuskowatych żądło-odnóży, Agata wciąż żyje. Fakt, jej skóra jest teraz pokryta siatką błękitnych żył, a oczy są całkowicie i głęboko czarne, bez widocznych źrenic i białek, ale gdy na mnie spogląda, na jej twarzy rozciąga się szeroki uśmiech.

Kosmici przybywają w ciągu następnych dziesięciu minut. Wchodzą frontowymi drzwiami jakby nigdy nic. Jest ich trójka. Wyglądają na skonfundowanych – przez dłuższą chwilę przyglądają się przedziurawionym zwłokom Natana, a potem przenoszą wzrok na mnie i Agatę.

– Słyszałam, że macie na pokładzie miejsce dla dwóch osób? – pytam grzecznie.

– I kota? – dodaje Agata z burą przybłądą mruczącą w jej ludzkich ramionach.

Kosmici spoglądają po sobie. Jeden z nich wykonuje gest, który zadziwiająco przypomina ludzkie, zrezygnowane wzruszenie ramionami. Wtedy myślę sobie, że nie jesteśmy wcale tacy różni – my i oni.

Też mamy kompleks wyższości nad innymi gatunkami i jakieś nieokreślone, Wszechwieczne Światło, którego nie potrafimy wyjaśnić, ale bez wahania jesteśmy w stanie dla niego zabić. No i przez większość czasu nie mamy bladego pojęcia, co tak naprawdę

robimy ani jakie są zasady. A co najważniejsze, oni też są śmiertelni. Nad głowami całej trójki lewitują niebieskie, migoczące znaczki, których nie rozumiem.

Jeszcze.





# MANBURGER

Kornel Mikołajczyk

## Burgerman

– Ach, witaj, witaj, księżniczko! Nareszcie się obudziłaś. Lulalaś całkiem długo, jak na to „ziarnko grochu”, które wypitaś w drinku. Bałem się już, że straciłem rękę do proporcji, a w gastronomii to praktycznie śmierć zawodowa. Proszę, rozsiądź się wygodnie; na ile to możliwe w tych więzach. Jesteś, bądź co bądź, moim gościem honorowym, a obiad... obiad, jak widzisz, właśnie się robi.

No, no, spokojnie, na co ta wariacka szarpanina? Po reakcji wnioskuje, że rozpoznajesz swoją zgrabną nóżkę na moim kuchennym blacie. Jest nieco bledsza i nieco mniej... hm, przymocowana do ciała, ale ciągle niezaprzeczalnie twoja. Dziękuję ci bardzo, że przyniosłaś ze sobą te sprawunki. Przydadzą się na danie główne. Dziś w menu: burgery! Tak, wiem, to takie proste i mało szlachetne danie, byle bułkę z frytami dostaniesz w budzie na każdym dworcu czy w szemranym foodtrucku. Ale ten burger będzie naprawdę, naprawdę specjalny. Usmażę go wyłącznie dla ciebie i z *ciebie*. Zaufaj mi, zjesz go i poprosisz o więcej. Ludzie zawsze chcą więcej...

Rzeźnicza robota za mną, krwotok zatamowany, więc na dobry początek oddzielę mięso od kości. Wybacz mi hałas, o wiele łatwiej zrobić to elektrycznym nożem. O proszę, popatrz, jak odchodzi. Ciach, pach – i kolejny plaster! Nie przejmuj się nierównymi cięciami, to i tak wszystko do zmielenia. Krew zdążyła obcieknąć, przyda się na mój specjalny keczup, ale kotlet nadal wyjdzie wystarczająco krwisty. Zawsze słyszałem, że dobry kucharz wykorzystuje każdy element mięsa i tego się trzymam w swoim fachu. Choć Bóg mi świadkiem, musiałem nauczyć się tej prawdy sam.

Na pewno ciekawi cię, czemu to robię, prawda? Taaak, dawniej popełniałem ten błąd, że rozmawiałem ze swoimi gośćmi, słuchałem ich pytań i zażaleń, wyjaśniałem. Nie to, co teraz. Knebel jest nieprzyjemny, owszem, ale brak odpowiedzi z twojej strony pomaga mi się skupić na prawdziwym kunszcie potrawy. A ja na spokojnie rozwieję twoje wątpliwości. Postaraj się mniej trząść i płakać, dobrze?

Sprawdziłem twój dowód i wiem, że jesteś młoda. Nie pamiętasz zatem tamtych dziwacznych czasów, kiedy we wciąż jeszcze chorą po komunie tkankę miasta zaczął się wcisnąć nowy rak, nowotwór w kolorach żółci i czerwieni, usiłujący zagnieździć się w nowej, kapitalistycznej Polsce. Amerykanizacja pod szyldem wielkiego „M”. Pracowałem wtedy w jednej z pierwszych knajp otwartych w naszym kraju, młody i skory do działania, zakochany w smaku, w kuchennej magii... Ale jedynym, co interesowało mojego kierownika, były te poronione McStandardy. Rozumiesz, o czym mówię? Nie? Już tłumaczę. Widzisz, firma-matka chciała z całych sił zbudować sobie markę i przyświecał jej jasny, korporacyjnie skalibrowany cel. Wszyscy pracownicy powinni stanowić monolit, działać jak jeden mąż, gotować tak samo i podawać tego samego burgera milionom klientów, niezależnie czy w Nowym Jorku, czy w Kijowie, czy w Tokio. Gdzie byś nie przekroczyła progu restauracji, kanapka ma smakować identycznie. Nie obchodziło więc kierownika ani trochę, że co rusz podejmowałem próby ulepszenia przepisu, zamarynowania mięsa, doprawienia sosu, wykorzystania lepszego gatunku sałaty czy sera. McStandard przedstawiał się inaczej.

Otrzymywałem za to bezustanne bury, nie mówiąc o tym, że ucinano mi pensję. Nie liczyło się nic a nic, że klienci wracali zadowoleni, że błagali mnie o specjalne zamówienia. Ten psychodeliczny klaun przed wejściem oczekiwał od swoich podopiecznych ślepego, bezwzględnego posłuszeństwa jego kosmopolitycznej jednakowości.

Na tym właśnie polega piekło, najdroższa. Jego ostatni krąg. Na powtarzaniu tego samego w koło i w koło, i w koło, i w koło...

Oho, mięso zmielone. Jak ten czas szybko leci przy dobrej zabawie, nieprawdaż? Kotleta natrę i uklepię za chwilę, najpierw musimy pokruszyć twoje kości. Tu stoi moja przemysłowa maszynka, bo potrzebujemy naprawdę drobnej mączki. To tylko dodatek do zwykłej mąki, inaczej bułka wyszłaby strasznie kredowa i miałka, ale nie da się bez niej obyć. Robiłem to dziesiątki razy i dopracowałem metodę wypieku do perfekcji. Na pewno będziesz zachwycona.

Na czym to ja skończyłem, moja miła? Ach tak, nasz kierownik. McZjeb – tak mówiliśmy o nim za plecami. Cóż mogę rzec na swoje usprawiedliwienie? Pewnego dnia po prostu nie wytrzymałem. Doskonale wiesz, jak to jest, jeśli przepracowałaś w życiu choć jeden dzień pod ostrzałem krytyki. Zaczynasz układać w głowie dziesiątki scenariuszy zemsty, przekonana, że nigdy ich nie zrealizujesz. Nakręcasz się dla samego nakręcania, by poczuć dreszczyk satysfakcji z wyobrażania sobie czyjegoś mózgu spływającego po ścianie, flaków na podłodze. Mi po prostu nadarzyła się okazja.

Zatrzymał mnie po godzinach po raz enty z kolei, tym razem w ramach nauczki za serwowanie burgerów z gorgonzolą i czerwoną cebulą. Miałem posprzątać cały lokal pod jego czujnym nadzorem. Ledwo zamknęliśmy drzwi za ostatnim klientem, zaczął wrzeszczeć na mnie, że nie pomyślałem, by od razu wyłączyć frytownicę, że coś takiego nigdy nie przydarzyłoby się wzorowemu McPracownikowi! Stałem jak kołek, pozwalając mu się opluwać i gnoić, wyzywać od najgorszych szumowin, aż wreszcie coś we mnie pękło. Zdzieliłem go w jajca, chwyciłem za rude kudły, po czym wsadziłem niewyparzoną gębę prosto w ten rozgrzany olej.

Wciąż jeszcze dychał, kiedy padł na kafelki. Ledwo-ledwo, rozumiesz, ale w szpitalu pewnie by go odratowali, gdybym natychmiast zadzwonił po pogotowie. Ja jednak wpadłem na zupełnie inny pomysł.

Musiałem pokazać mu, co potrafię. Czego próbowałem dokonać w tym miejscu przeżartym do cna fastfoodowymi absurdami. Na niczym w życiu nie zależało mi tak bardzo jak na tym.

Odkroiłem mu solidny kawał udźca, rozklepałem i odsmażyłem na grillu, zatamowawszy krwawienie. Marynatę musiałem przygotować na szybko, ale mieszałem przyprawy ze zwyczajową wprawą, odpowiednie dla jego charakteru, pulsu, duszy: lekko pikantne, ale ostatecznie odrobinę za słone, mdłe w posmaku i zostawiające pieczenie na języku. To było to, co pragnąłem mu udowodnić. Każdy ma swój smak i nie można go uogólniać do szarej masy. Jesteśmy wszyscy wyjątkowymi osobami, nie uważasz? Jedzenie to intymna kwestia, staje się częścią nas. Więc jeśli wszyscy jemy to samo, stajemy się tacy sami. Nudni, monottonni, odbici z jednej kalki. A ja... ja chciałem przekonać ludzi, by znowu stali się sobą. By nauczyli się smaków, które powinny należeć do nich i do nikogo innego. Otworzyć im trzecie oko, tudzież drugi język.

Ha, i ciasto na bułkę wyrobione. Widzisz, jakie pulchniutkie? Prawie tak jak ty! Wybacz, kochana, to oczywiście żart, wyglądasz fantastycznie. Schudłaś nawet parę kilo dzięki naszej znajomości, wiesz? No, sezam na wierzch, uklepać i bach! – wstawiamy do pieca. Krew na keczup bajecznie nam zgęstniała, dodaję ocet, cukier i moją autorską mieszankę przypraw, nie będziesz zawiedziona. A z mięsa robimy kotlecik...

Tak właśnie skończył mój kierownik, jeśli pozwolisz mi dokończyć opowieść. Zawiozłem ciało do domu, zmieliłem go na tyle, na ile się dało, a burgerami à la McZjeb nakarmiłem bezdomnych. Resztki porzuciłem głęboko w lesie. Podbiłem też pieczątki na obu naszych kartach pracy i nikt nic nie podejrzewał, nawet kiedy w restauracji zjawiała się policja. Wszyscy założyli, że uciekł do pracy za granicę. Zawsze się odgrażał, że to zrobi, zamiast „użerać się wiecznie z wami, bando zaściankowych, polskich kretynów”. Ale wcześniej pozwoliłem mu posmakować tego zrazu przygotowanego z jego mięska. Domyślasz się, jaki był efekt? Ha, na pewno nie! On płakał z rozkoszy, moja słodziutka. Tak! Płakał, kiedy pożywiał się sobą, wprost na spalone olejem policzki. *Nosce te ipsum*, mawiano dawno temu. „Poznaj samego siebie”. A ja powiadam: „Pożryj samego siebie”. Bo jesteś tym, co jesz.

Do mięsa dodam teraz przypraw – takich, które mi się z tobą kojarzą. Primo: siekana cebula na te łzy. Szczypta pieprzu i chili na zadziorność, bo ani trochę się nie poddajesz. Spójrz na swoje nadgarstki! Całe czerwone od szarpania za więzy! Czosnek dla wyrazistości, bo trudno ominąć cię wzrokiem. W tym barze od razu wpadłaś mi w oko i dobrze o tym wiesz, co? Lubisz uwagę, lubisz prowokować, ale to nie przemyślana postawa, a życiowe zagubienie. Bez obaw. Dzięki mnie odnajdziesz właściwą drogę... I na koniec nieco musztardy miodowej, bo ostrość miesza się u ciebie ze słodyczą. Ubijam kotleta i wrzucam na ruszt. Dla ciebie: *medium rare*. Za chwilę ucztaj!

Chyba nie urażę cię stwierdzeniem, że nie jesteś moją pierwszą, księżniczko. Ani też ostatnią, jak śmiem zakładać. Nakarmiłem już i otworzyłem na smak wiele, wiele osób. Nie zawsze udaje się to przy pierwszym posiłku, o nie. Czasem trzeba próbować dalej, dopracowywać przepis. Na szczęście ludzkie ciało nie składa się wyłącznie z lewej nogi, jeśli rozumiesz, o czym mówię... Hm? Słuchasz mnie w ogóle? No cóż. Naprawdę nie radziłbym ci zamknąć swoich kubków smakowych – i umysłu, przede wszystkim! – tuż przed wydaniem dania. Jedno ci jednak obiecuję. Nie spocznię, dopóki nie przygotuję z ciebie najlepszego dania, jakie jestem zdolny przygotować. Przysięgam, na mój honor kucharza!

A teraz spójrz, bułka przekrojona, jeszcze paruje. Warzywa ułożone, ser roztopił się na mięsie, keczup gotowy do smarowania. A w każdym z tych elementów jesteś ty. Twoja esencja, duch i ciało. Tutaj, na talerzu. Wystarczy wyciągnąć rękę!

Zdejmuję ci knebel. Proszę, nie krzycz. Nikt cię nie usłyszy. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy, przecież tłumaczę od początku. Chcę cię jedynie nakarmić. Pomóc odkryć prawdę o sobie. Więc uspokój się, mała. Usiądź, zrelaksuj.

I otwórz buzię...

## Śledczy

– Jezusie Nazareński! Tak, aspirancie, wiem! Miałem już nie palić. Nie musisz na mnie krzyczeć wzrokiem, dziękuję za troskę. Rzucić zawsze zdążę. Ale... ale przecież... no jasna pogoda! Widziałeś, co tam się odpieprzyło! Nasz krwawy Ronald zostawił nam kolejny Unhappy Meal! Kolejny „grill kill” z jego menu totalnego spierdolenia!

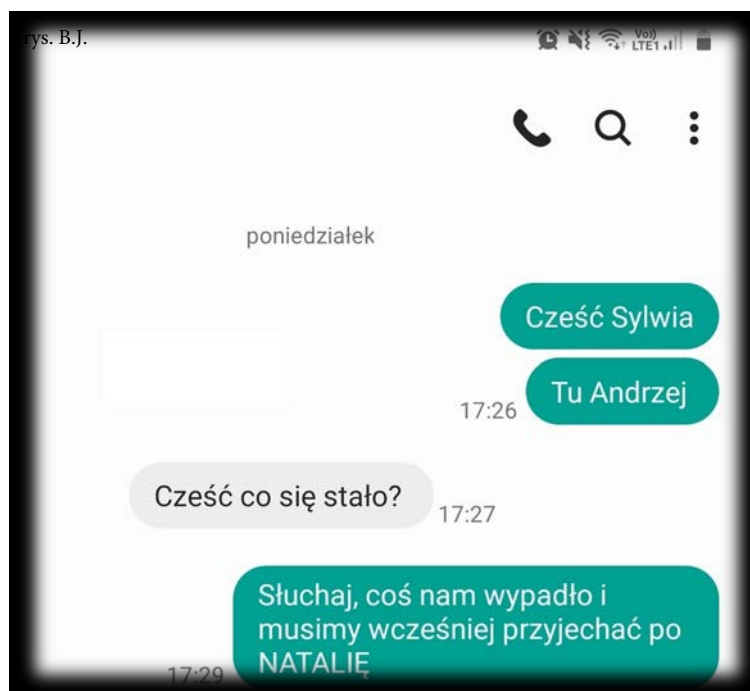
Widziałeś tego kadłubka, którego znaleźliśmy...

Jak można zrobić coś takiego? Jak? I do tego pięknej kobiecie? Wyjaśnisz mi to, a w tej chwili wrzucam peta do odpływu! No? Nie zostawił jej żadnej kończyny. Rąbał je po kolei, oprawiał, mielł mięso na kotleta, a kości, kuźwa, kruszył i dorzucał do bułki jak pierdolony olbrzym z bajki o Jasiu i fasoli! Do tego jeszcze pyszny keczupik z juchy... A śledztwo? Ha, nie rozśmieszaj mnie! Nadal ani śladu po nim, po tym, kim jest, jak wygląda, czemu to robi. Żadna z osób, które przeżyły, nie jest w stanie wyartykułować słowa. Ślinią się jedynie i bełkoczą, błagając o jedzenie...

O proszę, właśnie ją wywożę. No, widzisz, o czym mówię, panie głosie rozsądku? Spójrz na nią, nie powie nam nic a nic! A wiesz, czego najbardziej nie pojmuję? Wiesz? Tego, że ona się *uśmiecha*. Nie z wdzięczności, że ją ocaliliśmy, nie z ogłupienia,

a z błogości. Jakby była, cholera, syta, spełniona! Czemu? Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie – i sam się nienawidzę za tę myśl...

Ten gość musi robić piekielnie dobre burgery.



# MOJA JULIA

Dariusz Sprenglewski

Andrzej co rusz zaciskał owłosione paluchy na wytartej kierownicy, co w żaden sposób ani nie spowalniało rozszalałego serca, ani nie wyrównywało oddechu. Strużki potu prześcigały się po krzywiznach niedogolonej twarzy. Obok, na miejscu pasażera, zapięta w dziecięcym foteliku tak różowym, że ze swoją różowością plasowałby się na czwartym, może piątym miejscu w rankingu dziesięciu najniebezpieczniejszy broni masowego rażenia, siedziała „Nell” (największa, choć być może też i jedyna fanka ekranizacji *W pustyni i w puszczy* spośród wszystkich trzecioklasistów). Nuciała coś z pełną buzią utyłaną smugami czekolady i cukrowego pudru, jakie niegdyś wraz z ciastem tworzyły spójnego pączka.

– Zjadłam!

Andrzej ocknął się z letargu. Widząc twarz córki, a także gruzowisko okruszków, które obłożyło swoim słodkim całunem połowę wnętrza samochodu, uśmiechnął się. Wyciągnął ze

schowka nawilżane chusteczki, wprawnymi ruchami wytarł „Nell” buzię i rączki, po czym odjechał spod szkoły.

Mała nawijała całą drogę przez centrum. Tym razem Andrzej łowił każde jej słowo, uśmiechał się z życzliwością przy każdym przekreślonym wyrazie, uderzał palcami w kierownicę w koślawy rytm dziecięcych przyśpiewek. W ciszy, w środku żegnał się z jedyną dobrą częścią jego życia.

Wjechali na nowoczesne osiedle sklonowanych domków jednorodzinnych, gdzie odgórnie zdefiniowana elegancja zastąpiła indywidualność tak budynków, jak i dołączonych doń ogrodów, podjazdów, a często też zaparkowanych samochodów.

– Tato! Minąłeś dom Marty.

Andrzej ostro zahamował – stęknął, gdy zablokowany pas wpił się w jego pierś i dopiero po sekundzie zorientował się, że wyciągnął rękę w bok, by ochronić córkę przed ewentualnym zderzeniem z deską rozdzielczą.

– Przepraszam.

Mało który dorosły jest w stanie spiorunować spojrzeniem tak, jak robią tą dziewczęciolatki.

– Aua.

– Wybacz, skarbie.

„Nell” fuknęła, odwracając głowę w kierunku okna.

– Tam jest dom Marty. – Wskazała za siebie palcem.

Andrzej wrzucił wsteczny i wjechał tyłem na odpowiedni podjazd. Odpiął pasy sobie i córce, po czym wygramolił się z samochodu, czemu towarzyszyły jęki amortyzatorów. Z tylnej kanapy zgarnął torbę z nadrukowanymi jednorożcami. Obszedł samochód i otworzył drzwi pasażera – od wewnątrz „Nell” nie mogła tego zrobić (choć przestrzegala rodzinnego regulaminu, czyli naprędce wymyślanych zasad, Andrzej wolał nie ryzykować i założył blokadę rodzicielską). Mała zgarnęła pluszowego króliczka. Sfatygowane, szmaciane ciało obrośnięte skołtunionym futerkiem dyndało pod kurczowo zaciśniętą rączką.

Oboje pokonali resztę podjazdu, on bujając się jak niedźwiedź próbujący chodzić na dwóch nogach, ona powłóczyła obok nogami.

– Przepraszam za to hamowanie. Nie gniewaj się.

– Dobra, nie będę. Ale mogę ja zadzwonić?

– Jasne.



Rozpostarła na połowie twarzy rozkoszny uśmiech podkreślony brakiem górnej jedyńki – mleczak wypadł dwa dni temu, stały jeszcze nie zagościł w szeregu. Dzisiaj Andrzej niczego by jej nie odmówił, choćby zażyczyła sobie kąpieli w wannie pełnej lodów.

Mała, wspinając się na palcach, nadusiła kwadratowy przycisk przy framudze, a po chwili w drzwiach stanęła Sylwia. Zapiszczała, schylając się do „Nell”.

– Jakie słodkie sówki. – Wskazała na bluzkę dziewczynki. – Lubisz sowy? Ja też. Chodź, Marta już czeka. I mam nadzieję, że jesteś głodna, bo mamy furę jedzenia.

„Nell” przytuliła się do nogi ojca. Andrzej kucnął, spojrzał na córkę i ujął jej twarz w swoje wielkie łapy.

– Bądź grzeczna i słuchaj się Sylwii, dobrze?

Mała pokiwała głową, a przy każdym skinieniu jej policzki rozdymały się jak balony. Parsknęła śmiechem. Rzuciła się tacie na szyję, a on złapał ją w ramiona i wstał. Gapił się w jej oczy, jakby po raz pierwszy dostrzegł ich piękno, głębię i kryjącą się za niebieskimi tęczęwkami moc roztopiania zlodowaciałych serc. Wiedział, że widzi je po raz ostatni.

– Kiedy po mnie przyjedziesz?

– A co, już chcesz wracać?

– Nie. Chcę tylko wiedzieć. To o której?

– O dziewiętnastej – skłamał.

Pocałował córkę w czoło, odstawił na deski tarasu i pozwolił zniknąć w półmroku korytarza. Sylwia zmierzyła go wzrokiem. Ściągnęła brwi, co wycięło pionową bruzdę w jej czole.

– Wszystko gra?

– Julia się odezwała.

Sylwia zamknęła oczy, a z jej twarzy odpłynęła cała krew. Wypuściła powoli powietrze z płuc i oparła się o framugę, zerknęła przez ramię, by upewnić się, że „Nell” ich nie usłyszy, po czym wyszła za próg. Nachyliła się do Andrzeja. Pachniał tanią wodą kolońską.

– Jakby co, dzwoń.

– Dzięki.

Powiedział Sylwii prawie wszystko o swojej byłej żonie, nie oczekując niczego poza wysłuchaniem. Dostał niesamowite wsparcie i zrozumienie, a także plan awaryjny, gdyby coś poszło nie tak i musiałby z „Nell” znowu uciekać.

Wrócił do samochodu. Nie odjechał. Siedział z łapami rozlanymi na kierownicy i przeżuwał resztki pączka wydlubane językiem spomiędzy zębów i wymieszane z wyrzutami czegoś, co kiedyś nazwałby sumieniem. Przez chwilę jeszcze się wahał. Może wrócić po

„Nell” i od razu odjechać. Albo zostać tutaj, na podjeździe i o dziewiętnastej wyjechać z miasta. Nie. Julia i tak ich znajdzie. Uciekli na drugi koniec kraju, a i tak ich wywęszyła. Dostali prawie dwa lata wolności. Bywały momenty, kiedy sądził, że Julia zginęła – nie życzył jej śmierci dlatego, że jej nienawidził, tylko dlatego, że wówczas on i przede wszystkim „Nell” byliby wolni.

Pociągnął nosem i wypuścił z płuc powietrze. Odjechał. Ulice wiły się jak rzeki pełne blaszanych, na pół martwych samochodowych stworów wołających: tutaj, zbliż się. Drzewa wyciągały swoje gałęzie niczym ramiona kochanek – wpadnij w moje objęcia, szeptały. Wystarczył jeden ruch kierownicy, by podążyć za ich kuszeniem.

TIR przejechał obok, trąbiąc głośno. Andrzej wjeżdżał już kołami na przeciwległy pas. Odbił. Pokręcił głową, zdzielił się kilka razy w policzek i uchylił okno. Zmęczenie i stres dawały mu się we znaki, ale nie mógł teraz popełnić błędu. Nie teraz, kiedy był już tak blisko. Cierpliwie przejechał przez zakorkowane wiadukty i główne ulice, by dotrzeć do dzielnicy, którą urząd miasta pomijał w swoich planach remontowych od przynajmniej dwudziestu lat.

Andrzej znał na pamięć dziury w asfalcie, wiedział, gdzie lepiej odbić do osi jezdni, niż przejechać po studziencie i przed którym zakrętem zwolnić. Na końcu jednej z ulic, gdzie kończyły się bloki i większość domków, a po horyzont rozciągały się pola, zatrzymał samochód przed skromną, ale utrzymaną we względnym porządku posesją. Wysiadł i pierwsze co, to obszedł samochód. Dopiero gdy otworzył drzwi, uświadomił sobie, że córki przecież nie ma w środku. Gapił się na puste miejsce pasażera, na różowe obicie, które wypalało oczy, bo nie skrywało go pod sobą drobne ciało „Nell”. Nachylił się, zwolnił zaczepy fotelika, wyciągnął go i zaniósł do domu. Musiał zwolnić miejsce pasażera.

Przekroczywszy próg, odłożył różowe monstrum na szafkę na buty. Gdy tylko się wyprostował, znieruchomiał. W powietrzu unosiła się woń perfum imitujących zapach cynamonu, dusząca, nieprzyjemnie chemiczna. Intensywniejsza niż wczoraj. Znaczy, że Julia była tu niedawno.

Nasłuchiwał najdrobniejszych szelestów, stukotów czy szeptu wydechu, nic jednak nie zdradzało, by w domu ukrył się intruz. W kuchni buczała lodówka, za oknem z lekka szumiał wiatr, napierając na stare drewniane ramy, zmuszając je do zawodzeń.

Andrzej przylgnął plecami do ściany i przeszedł korytarzem na wysokość salonu. Pociągnął nosem – tutaj woń cynamonu wyraźniej zaznaczyła swoją obecność – wychylił się zza rogu i obrzucił spojrzeniem pokój. Pusto. Odważył się prześlizgnąć do środka, powoli, nie odrywając pleców od ściany. Wychylił się, by zerknąć w kąt skryty za fotelem. Pusto.

Poczuł mocne uderzenie cynamonu. Odwrócił się w stronę kuchni.

Stała w progu. Drobną, mierzącą zaledwie metr sześćdziesiąt i to w szpilkach, wciśnięta w garsonkę podkreślającą kobiece kształty, choć tymi za bardzo nie mogła się poszczycić. Wpatrywała się w niego. W milczeniu i z uwagą. Kącik wymalowanych intensywną czerwienią ust uniósł się, tworząc uśmiech, jakiego nie powstydziliby się uczennica katolickiej szkoły prosząca o zaliczenie. Wielkie niebieskie oczy, pozornie zalane strachem i nadzieją, wymuszały rozbudzenie w sobie głęboko skrywanych pokładów altruizmu.

– Spokojnie, kochanie, to ja, twoja Julia.

Andrzej milczał. Złudna powierzchowność byłej żony, której dał się zwieść dwanaście lat temu, teraz paraliżowała jego mięśnie, równocześnie wzbudzając bicie serca, skręcając żołądek i rozlewając gorące fale po karku i nogach – gdyby nie framuga, o którą się opierał, runąłby już dawno. Nie spodziewał się konfrontacji tak wcześnie. Wiedział, że nastąpi i to jeszcze dzisiaj, ale naiwna cząstka jego umysłu kazała mu sądzić, że ma jeszcze czas, że przynajmniej do wieczora nic się nie wydarzy.

– Gdzie jest Natalia?

Przełknął ślinę. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo wyschło mu w gardle.

– Nie ma jej.

– Skarbie... na pewno chcesz ciągnąć tę grę? Jesteśmy rodziną, pamiętasz? Przysięgałeś przed Bogiem, że nie opuścisz mnie aż do... śmierci. A mimo to... – Westchnęła teatralnie, nie kryjąc nawet, że to tylko pusty gest udawanego żalu. – Jestem gotowa ci wybaczyć. Wybaczam wam obojgu.

Wyszła z kuchni. Zbliżała się do Andrzeja, a on nie był w stanie odejść choćby na krok, o ucieczce nawet nie wspominając. W marzeniach zawsze sięgał w takiej sytuacji po jakiś ciężki przedmiot, Julia chwilę później lądowała na podłodze z roztrzaskaną głową, martwa. Teraz jednak nie miał ani nic ciężkiego pod ręką, ani siły, by choćby ruszyć palcem.

Stała przed nim. Z zadartą do góry głową, szeroko otwartymi oczami, zięjącymi udawaną ufnością, pełną fałszu, a jednak tak dobrze wyćwiczoną, że każdy się na nią nabierał. Uniosła dłonie do jego czoła. Wzdrygnął się.

Cofnęła odrobinę ręce, odczekała chwilę i położyła opuszki palców na zroszonym potem czole Andrzeja. Sapał. Szybko i płytko. Nozdrza rozwierały mu się raz za razem. Pisnął nawet, choć cicho i przez mocno zaciśnięte usta.

Uśmiechnęła się, spływając palcami po twarzy byłego męża.

– Gdzie jest moja córka?

Wstrzymał oddech i zacisnął mocno oczy. Czekał. Wiedział, co za chwilę nastąpi, ale ani myślał zdradzać córki. Nie wyda jej Julii.

Uniosła jedną brew. Odkleiła palce od policzków Andrzeja i się odsunęła.

Wypuścił z płuc powietrze. Krzyknął, zginając się wół. Wielkimi łapami napierał na boki swojej głowy, jakby mogło to w czymkolwiek pomóc.

Ból, przesywający głowę niczym rozżarzony pręt, nie był najgorszym spośród wszystkich okropności, jakich właśnie doświadczał Andrzej, stanowił ledwie przyprawę, szczyptę soli, jaką dodaje się na koniec gotowania. Telekinetyczne imadło zginało półkule mózgowe i przez fizyczne naprężenia wywoływało rozmaite wrażenia zmysłowe z intensywnością, jakiej człowiek nigdy normalnie by nie doświadczył. Najgorsze było jednak coś innego. Julia swoimi telepatycznymi mackami pełzała po neuronowej płataninie, wywlekając na wierzch najbardziej skrywane lęki i roztaczała je po umyśle. Wspomnień nie mogła tknąć, ale fantazje i koszmary odnajdywała bez trudu.

Andrzej nie dlatego zgiął się z bólu, nie dlatego łkał bezradnie i żałośnie, bo cierpienie paliło mu skronie, wił się po podłodze, zawodząc, bo jego umysł nawiedziło przeświadczenie, że w tej właśnie chwili jego mała „Nell” wykrwawia się w męczarniach, wołając „tatusiu, tatusiu”, a on nic nie mógł zrobić. Wiedział, że to tylko iluzja, ale Julia rozkazała mu się jej poddać, a w obecnym położeniu musiał słuchać rozkazów. Odnalazła nie tylko koszmarną wizję, ale też emocje, jakie się z nią wiązały – aktywowała je w Andrzeju.

Torturowała go już dziesiątki razy, mimo to nie sposób było się uodpornić. Lata temu jedyne, co mógł, to odnaleźć w sobie siłę, by wyrwać się z pułapki. Gdy Julia roztoczyła swe macki również na „Nell”, zaczął przygotowywać plan ucieczki. A mała obrywała za wszystko, za nieposprzątaną pokój, za pyskówki w sklepie, za brzydko pokolorowany obrazek na zajęciach w przedszkolu. Ostatni raz Julia roztoczyła męki nad córką, bo ta źle się czuła i zwróciła śniadanie. Wieczorem Andrzej powiedział, że pójdzie sprawdzić, jak się mała czuje. Skulona w kłębek ssała kciuk i przyciskała do piersi swojego króliczka. Klęknął przy niej i zobaczył wzrok dziecka ślepo wbity w punkt leżący gdzieś daleko od domowego koszmaru. Spakował naprędce kilka rzeczy córki do jej plecaka, w kuchni zgarnął gotówkę z puszek, do której odkładali drobne. Gdy Julia brała prysznic, wyszedł z „Nell” i razem wyjechali z miasta. Nocowali w samochodzie, żywili się najtańszą mielonką i wyżebranym pieczywem. Andrzej zatrudniał się to tu to tam na jednodniowe fuchy. Myli się na stacjach benzynowych. Na jednej z nich poznali Sylwię i zaczęli nowe życie.

Julia rozmyśla iluzję i wstrzymała mentalny atak. Andrzej, czerwony na twarzy, zapłakany, z flegmą i śliną ciekącymi po brodzie, podniósł pełen wyrzutu wzrok. Jego była

żona nawet nie drgnęła. Wciąż stała o krok od niego z tym samym paskudnym uśmiechem odmalowanym na twarzy.

– Gdzie jest...

– Pierdol się.

– O, co to za maniery? Od kiedy to odzywa się w taki sposób do ukochanej osoby? – Klęknęła przed wspartym na drżących rękach Andrzejem i ujęła w dłonie jego mokrą szczękę. – Mogę to odtwarzać w twoim zakutym łbie do końca twojego zasranego życia i patrzeć, jak tracisz kontakt z rzeczywistością. Nie umrzesz. Nie ma tak łatwo. Zafunduję ci coś o wiele, wiele gorszego. Więc bądź dobrym mężem. Ja tylko chcę, żeby nasza rodzina mogła znowu być razem.

Spuścił głowę. Zadławił się powietrzem, własnymi łzami i wstydem.

– No już, dobry Andrzejek, dobry. Teraz zrobi to, co powinien zrobić od samego początku. Zgadza się?

Pokiwał głową.

– Powiedz to. Zrobisz to, o co cię... poproszę.

– T-tak.

– Grzeczny Andrzejek. Teraz powiedz, gdzie jest Natalia?

– Jest u... Jest u swojej koleżanki, na imprezie urodzinowej. Mam ją odebrać o...

– Nie, nie, nie, teraz ją odbierzemy. Zadzwoń i powiedz, że już po nią jedziemy.

Andrzej skinął nieznacznie głową. Wsparty o framugę, podniósł się, sapiąc przy najdrobniejszym nawet ruchu.

– Doprowadź się do porządku. Wyglądasz obleśnie.

Wszedł do łazienki. Przemył twarz i kark, spojrzął na swoje odbicie w lustrze, a w zmęczonych życiem oczach zapłonął ostatni płomień determinacji. Nadszedł czas.

Wyszedł z łazienki i od razu udał się do kuchni, gdzie Julia popijała wodę ze szklanki. Sięgnął po notes i wykręcił na klawiaturze telefonu stacjonarnego numer do Sylwii. Czekał na połączenie, czując na sobie penetrujące spojrzenie byłej żony.

– Tak, słucham? – usłyszał w słuchawce znajomy kobiecy głos.

– Cześć Sylwia, tu Andrzej.

– Cześć, co się stało?

– Słuchaj, coś nam wypadło i musimy wcześniej podjechać po Natalię.

– Natalię? A, „Nell”. Czekaj. My? My! Ożeż, kur...

– Tak, zaraz się zbierzemy. Jakies pół godziny nam zejdzie, zanim się przebijemy przez miasto.

- Bardzo jest źle?
- Tak, tak, to nic takiego, ale musimy już odebrać Natalię.
- Wiem, co robić. Uważaj na siebie.
- Super, do zobaczenia.

Rozłączył się, odłożył słuchawkę i spojrzał na Julię. Popijała wodę, beztrąsko zerkając przez okno.

- Lubisz ją. Tę kobietę.

Andrzej ledwie powstrzymywał przymus nerwowego potarcia karku, przełknięcia śliny czy odwrócenia wzroku, czegokolwiek, co zdradziłoby, że Julia miała rację. Podszedł do byłej żony. Stał przed nią wyprostowany, niemal dumny, choć w środku wnętrzości wykręcał mu lęk.

Ściągnęła usta, wpatrując się w niego wielkimi, sarnimi oczami, w których tak łatwo było się zakochać. Były wabikiem, jak wypustka, której koniec świeci tuż przed paszczą ryby głębinowej.

- Powinniśmy już jechać.
- Oczywiście, skarbie.

Wyszli na skromną werandę. Andrzej zamknął drzwi na klucz, choć w duchu naszła go myśl, że teraz zamykanie domu nie ma większego sensu. I tak tu nie wróci.

Zeszli na podjazd. Otworzył Juli drzwi od strony pasażera i nim usiadła, strzepnął z siedziska okruszki pączka.

- Powinieneś częściej sprzątać *nasz* samochód.
- Tak, masz rację.

Zajął miejsce za kierownicą i wyjechał z podjazdu. Co jakiś czas zerkał na byłą żonę. Obserwowała okolicę jak ktoś, kto widzi zewnętrzny świat po raz pierwszy, podziwia jego niezwykle kształty, ale oddziela się od niego szybko jak od czegoś obcego, pięknego, ale i niebezpiecznego.

– Ładna dzielnica, ale wolę nasz stary dom. Pojedziemy tam, jak tylko odbierzemy Natalię.

- Oczywiście.
- Mam wrażenie, że coś jest nie tak.

Serce Andrzeja załomotało w jego żebra, niemal wrywając się z piersi. Zacisnął paluchy na kierownicy.

- Co takiego?
- Wydajesz się jakby... smutny. Nie cieszysz się, że znowu będziemy razem?

– Oczywiście, że się cieszę.

– To dobrze. Nasz stary dom trzeba wyremontować i nie wyobrażam sobie urządzać go na nowo bez ciebie. Uważam też, że powinniśmy wprowadzić kilka zmian, a także kilka nowych... zasad.

– Jakie zmiany masz na myśli?

– Jak tylko wrócimy, sprzedasz samochód. Nie jest nam potrzebny. I uważam, że wystarczy nam jeden komplet kluczy.

– Kochanie, jeśli będzie trzeba gdzieś szybko pojechać, to i samochód i zapasowe klucze będą niezbędne.

– Nie wygłupiaj się. Gdzie to niby musiałbyś pilnie pojechać? Przecież teraz wszystko można zamówić z dostawą.

– Racja, zacofany trochę jestem.

– Mój głuptasek. Spokojnie, zadbam o nas. A powiedz, co łączy cię z tą kobietą, z którą rozmawiałeś?

– Nic, to mama koleżanki Natalii. Ze szkoły. Z klasy.

– Widujecie się czasem?

– Na wywiadówkach i tyle. Dzisiaj pierwszy raz „Nell” poszła do nich do domu.

– Nie mów o niej „Nell”. Ona ma na imię Na-ta-lia. Rozumiesz?!

Skręcił na wiadukt.

– Przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

– Zwolnij. Widzisz przecież, że jest ograniczenie.

Zwolnił. Za oknem szumiało rozcinane karoserią powietrze, pod kołami mruczał asfalt. Wyprzedziły ich dwa samochody. Z przodu jechał TIR.

– Nie cierpię ich. – Julia skinęła głową na ciągnik. – Powinni im zabronić wjazdu do miasta.

– Też tak myślę.

Andrzej zmienił pas, zrzucił bieg na niższy i gwałtownie przyśpieszył.

– Zwolnij.

– Zaraz zwolnię, kochanie, tylko go wyprzedzę.

Wdepnął pedał gazu do podłogi. Silnik wył ostatkiem sił, a karoseria trzeszczała w swoim metalicznym, wysokim sprzeciwie. Minęli TIR-a.

– Zwolnij.

– Julio?

– Zwolnij, mówię!

– Julio, nie dostaniesz „Nell”.

Spojrzała na niego, jakby powiedział coś w obcym języku lub wybitnie niewyraźnie.

Skręcił ostro kierownicą. Samochód wjechał tuż przed TIR-a i uderzył w barierkę. Nie przebił się, ale odbił, wpadł w poślizgi i obrócił bokiem do ciągnika.

Uderzenie zmiażdżyło Andrzeja. Krwawa breja rozprysła się na Julii. Siła impetu pogruchotała stawy i kości kobiety. Uderzywszy głową o boczną szybę, straciła świadomość.

Kierowcy TIR-a nic się nie stało, jednak minęła chwila, nim zdołał zatrzymać pojazd. Samochody jadące pasem obok zwalniały, bo pasażerowie chcieli sobie pooglądać masakrę. Dziś w programie „śmierć na żywo”.

Kierowca TIR-a wysiadł i powoli, przylegając do zgniecionej frontu własnej maszyny, przeszedł na przód. To, co zostało z osobówki, nie pozostawiało żadnych złudzeń, dusiło wszelkie nadzieje. Srebrny minivan przypominał teraz kulkę zgniecionej folii aluminiowej. Spomiędzy blach wychyliły swoje pomarańczowe cielska wąskie języki ognia. Kłęby czarnego dymu zakotłowały się we wnętrzu wraku. Kierowca wrócił do TIR-a, odpalił silnik i nie sprawdzwszy nawet, czy z tyłu nikogo nie ma, wycofał ciągnik o kilka metrów.

Pognieciona osobówka stanęła w płomieniach.

Julia odzyskała przytomność. Gryzący dym palił płuca od środka, płomienie już pełzły po jej zgruchotanych nogach. Jediną władną ręką uderzyła w szybę, ta jednak nie ustąpiła. Julia zatrzymała się. Drzwi od jej strony nie były uszkodzone, a przynajmniej nie wyglądały na takie. Złapała za klamkę i szarpnęła. Nic. To niemożliwe – wmawiała sobie – i szarpnęła ponownie. Blokada rodzicielska nie ustąpiła.

Szarpała klamkę i waliła w szybę, coraz słabiej, coraz rzadziej, aż w końcu przestała. Opadła na oparcie, by ostatni raz spojrzeć na byłego męża. Jedyńm, co z jego szczątków nadal przypominało fragment człowieka, były martwe, oskarżycielsko wpatrzone w Julię oczy, osadzone w pogruchotanej czaszce.

\*\*\*

Sylwia podeszła do pałaszującej drugi kawałek tortu „Nell”. Mała spojrzała na nią pytająco.

– Dzwonił twój tata. Może chciałabyś zostać dzisiaj na noc?

– A mogę?

– Oczywiście, robaczku. Twój tata już się zgodził i nawet wcześniej podrzucił kilka twoich ubrań. To jak, zostajesz?



– Pewnie!

Sylwia potarosiła włosy „Nell” i wróciła do kuchni. W zawieszonym na ścianie małym telewizorze właśnie leciały wiadomości. Reporter relacjonował wypadek na jednym z wiaduktów – TIR staranował osobówkę, która, po nieudanym manewrze wyprzedzania, wpadła w poślizg, z wraku wyciągnięto szczątki dwóch ciał, rosnącego mężczyzny i drobnej kobiety. Sylwia sięgnęła po pilota i wyłączyła odbiornik. Po jej policzku spłynęła jedna słona kropla. Starła ją pośpiesznie. Na krześle, na którym wcześniej siedziała „Nell”, leżał szmaciany króliczek. Podniosła go i przytuliła do piersi.

# KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY  
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



[FACEBOOK.COM/KIDSOFEVIL](https://www.facebook.com/kidsofevil) [INSTAGRAM.COM/KIDSOFEVIL](https://www.instagram.com/kidsofevil) [YOUTUBE.COM/KIDSOFEVIL](https://www.youtube.com/kidsofevil)

[WWW.KIDSOFEVIL.COM](http://www.kidsofevil.com)

Z KOMIKSAMI ZVYRKE LATO TRWA WIECZNIE

ZVYRKE.SELINO.PL FB.COM/ZVYRCOMICS

INSTAGRAM.COM/ZVYRKE



(LUB WYSZUKAJ „ZVYRKE” NA GILDIA.PL)

# PARTNERZY



MAGAZYN  
**BIAŁY KRUK**



Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

